

Mates HEILIG

Brynjeänd 2

224 75 Lund / Szwecja

WSPOMNIENIA Z LAT OKUPACJI NIEMIECKIEJ

1941 - 1944

Urodziłem się 20.09.1918 w Boryslawiu, woj. Lwowskie, Polska do 1939 r. Obecnie Ukraina. Ojciec Mojżesz Lajb, kupiec. Matka Chana, z domu Eidelheit, nie pracowała zawodowo. Brat Samuel Henryk, (Zwi), ur. 06.03 1923, obecnie w Izraelu.

Przed wojną Boryslaw, małe miasto, położone w południowo-wschodniej Polsce, liczył około 50 tysięcy mieszkańców, z czego 1/3 stanowili Żydzi. Reszta, mniej więcej w takim samym stosunku, stanowili Polacy i Ukraińcy. Położenie wśród lasów karpaccich, (podobno nazwa miasta stąd się wzięła "Bory-slawne"), oraz przemysł naftowy nadawały miastu specyficzny, różniący się od innych miast, charakter. Widoczny z daleka las szybów naftowych, w nocy oświetlonych, sprawiał wrażenie bardzo dużego miasta. Z leżącego w pobliżu znanego uzdrowiska, Truskawca, urządzano wycieczki dla kuracjuszy na t.zw. światelka, czyli na sąsiednie wzgórza, skąd mogli oglądać morze światel boryslawskich. W rzeczywistości miasto było raczej zaniedbane, o bardzo złych nawierzchniach, z których latem unosił się kurz, a wiosną i jesienią pokryte były błotem. Budynki głównie parterowe, o dość niskim standardzie. Dopiero w latach trzydziestych stopniowo wygląd miasta zaczął się zmieniać na lepsze. Dominował przemysł naftowy, przy którym zatrudniona była większość mieszkańców, bezpośrednio lub pośrednio.

Żydzi, głównie inteligencja, pracowali jako urzędnicy, na różnych stanowiskach, w przemyśle naftowym, inni zajmowali się handlem i rzemiosłem. Stosunkowo duża grupa stanowiła inteligencja uprawiająca wolne zawody, jak np. lekarze i adwokaci. Obok ludzi bardzo zamożnych, nawet właścicieli kopalni, spora część społeczeństwa żydowskiego cierpiała biedę. Ta część młodzieży żydowskiej, zresztą stosunkowo nie duża, która ukończyła średnie wykształcenie, miała zamkniętą drogę na studia wyższe i tylko niektórzy mogli sobie pozwolić na studia zagranicą. A o pracę było bardzo trudno, chyba że miało się t.zw. stosunki.

Stosunki między Żydami a reszta mieszkańców były raczej chłodne, ale jawne wystąpienia antyżydowskie należały raczej do rzadkości. Szersze kontakty miały miejsce w sferze

handlowej. Żydzi kupowali produkty rolne u chłopów-Ukraińców, przeważnie z okolicznych wsi, a Polacy i Ukraińcy zaopatrywali się głównie w sklepach, których właścicielami byli Żydzi. Kilka sklepów nieżydowskich to spółdzielcze konsumy i ukraińskie "torhowle". Dopiero w latach 30-dziestych pojawiły się sklepy z dużymi sztydami "Polski sklep towarów mieszanych".

W jedynym gimnazjum prywatnym w Boryslawiu, a nawet w państwowym gimnazjum w Drohobyczu, do którego ja uczeszczałem, ponad połowę uczniów w klasach stanowili Żydzi. W drugiej połowie lat 30-tych stan ten zmieniał się na niekorzyść Żydów, głównie w gimnazjum państwowym i sporo młodzieży, również i boryslawskiej, uczeszczała do uruchomionego prywatnego gimnazjum żydowskiego w Drohobyczu.

Socjalne stosunki społeczności żydowskiej zamykały się głównie we własnym środowisku, poza nielicznymi wyjątkami. Istniał stosunkowo duży Dom Żydowski, gdzie koncentrowało się życie kulturalne, łącznie z regularnymi kursami języka hebrajskiego. Wielosekcyjny klub sportowy Kadimah, umożliwiał młodzieży uprawianie różnego rodzaju sportów. Duża, bogato wyposażona biblioteka żydowska, wypożyczała bezpłatnie książki bez wyjątku wszystkim. Działało też kilka legalnych organizacji młodzieży sjonistycznej.

Wiele Żydów było na wysokich stanowiskach, głównie w przemyśle naftowym, jak dyrektorzy i kierownicy międzynarodowych firm, ale także w administracji miejskiej. Poza nielicznymi wybrykami antyżydowskimi, na co dzień nie odczuwano się wyraźnej nietolerancji. Jako przykład można podać, że nawet w państwowym gimnazjum Żydzi, na własną prośbę byli zwolnieni od pisania w sobotę.

Sytuacja uległa radykalnej zmianie po dojściu do władzy Hitlera w Niemczech w 1933 oraz po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku. Wystąpienia antyżydowskie przybierały coraz bardziej brutalny charakter. Doszło do tego, że w 1936 roku, w małym mieście Przytyk, miał miejsce pogrom z ofiarami w ludziach. Na wyższych uczelniach co pewien czas urządzano "dni bez Żydów", t.j. nie wpuszczano Żydów na zajęcia. Zmuszano Żydów do siedzenia w t.jzw. "gettach lawkowych". Zorganizowane bojówki napadały na nielicznych studentów Żydów (zgodnie z wprowadzonym "numerus clausus" liczba Żydów przyjmowanych na niektóre wydziały była ograniczona), uniemożliwiając im regularne branie udziału w wykładach. Profesorowie, z małymi wyjątkami, m.i. Bartel, zachowywali się biernie. W roku akademickim 1938/39 zostali zabici studenci Politechniki i Uniwersytetu we Lwowie, Poweller, Landsberg i Zellermeier. Przy okazji częstych burd wybijano szyby w sklepach żydowskich. Celowali w tym studenci Politechniki. Policja rzadko interweniowała, zasłaniając się eksterytorialnością wyższych uczelni.

Wiadomości o prześladowaniu Żydów w Niemczech oraz rozwój sytuacji w kraju

wzbudziły niepokój wśród społeczeństwa żydowskiego. Coraz częściej zaczęto się zastanawiać nad koniecznością emigracji. Niestety możliwości tego rodzaju były bardzo ograniczone. Organizacje sjonistyczne rozwinęły szeroką działalność, przygotowując młodzież do wyjazdu do Palestyny, ale brytyjskie władze mandatowe robiły wszystko by jak najbardziej ograniczyć zezwolenia na imigrację. Inne kraje, głównie Ameryki Środkowej, przyjmowały niewielką liczbę emigrantów, ludzi bardzo zamożnych. A tacy z kolei nie bardzo się palili do wyjazdu. Mieli Palestynę na miejscu, jak niektórzy się wyrażali. Mimo takich wydarzeń jak Anschluss Austrii oraz zajęcie Czechosłowacji, pocieszano się, że Hitlerizm to zjawisko przejściowe i że należy przeczekać.

Sytuację ekonomiczną mojej rodziny można określić jako zadowalającą. Mieszkaliśmy na Wolance, (dzielnicy, która kiedyś była oddzielną jednostką administracyjną), w nowo zbudowanym, skromnym, ale własnym domu. Rodzice byli w stanie opłacić naukę w szkole średniej zarówno za mnie (gimnazjum), jak i za brata (prywatne gimnazjum handlowe), co było dość dużym obciążeniem finansowym. Stosunki z nieżydowskimi sąsiadami, były w zasadzie poprawne. Emigracja całej rodziny była nieaktualna, chociażby ze względów materialnych. Nie dysponowaliśmy koniecznymi funduszami.

Ultimatum niemieckie w sprawie t.zw. Korytarza i wkrótce potem wybuch wojny 1 września 1939 r. oraz szybkie postępy armii niemieckiej było szokiem dla całego narodu, a w szczególności dla społeczeństwa żydowskiego. Zanim zdążyliśmy ochłonąć z przerażenia na ulicach miasta pojawiły się pierwsze oddziały wojska niemieckiego. Nie wiedzieliśmy o istnieniu umowy niemiecko-radzieckiej, zgodnie z którą nasze tereny miały być zajęte przez Rosjan. Na ten temat krążyły różne plotki i dopiero 17 września, po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Polski, sprawa się nieco wyjaśniła. Nie znaleźliśmy tylko szczegółów, a co najważniejsze jak długo przebywać będą u nas Niemcy i jakie mają zamiary w stosunku do ludności żydowskiej. Prześladowania i represje antyżydowskie w Niemczech i na zajętych terytoriach, o jakich donosiła prasa, jakże odległe kiedyśmy o nich czytali, stały się nagle realną możliwością. Żydzi unikali wychodzenia z domów. Krążyły pogłoski o braniu zakładników żydowskich, o rozstrzeliwaniach. W czasie pobytu Niemców przypadło święto Smutnego Dnia, które Żydzi obchodzą z niezwykłą powagą i troską, modląc się żarliwie do Boga o darowanie popełnionych grzechów. Tym razem bożnice były przepelnione, a modły były przeplatane jękami i płaczem. Na szczęście pierwsze zetknięcie z Niemcami w czasie ich krótkotrwałego pobytu w naszym mieście minęło bez ofiar.

W dniu wycofywania się Niemców siedziałem z ojcem obok sklepu i przyglądaliśmy się poruszającym się jednostkom zmotoryzowanym od strony Tustanowic w kierunku do centrum

Boryslawia. Wydawało mi się, że poruszają się bardzo wolno, co pewien czas się zatrzymując. Nie opuszczał mnie strach, że mogą się zatrzymać na dobre. Po kilku godzinach przejechały ostatnie motocykle i dopiero po dłuższej chwili zobaczyłem pierwsze samochody ciężarowe wypełnione żołnierzami Armii Czerwonej. Uczucie olbrzymiej ulgi zastąpiło niepewność i strach, jaki przeżyliśmy w czasie stosunkowo krótkiego pobytu Niemców, a który nam wydawał się nieskończenie długi.

Wkroczenie wojsk radzieckich i zajęcie wschodnich ziem polskich zmieniło radykalnie sytuację. Represje w stosunku do rzeczywistych i urojonych przeciwników politycznych, wywłaszczanie ludzi z majątków, nawet mniejszych, na które często pracowali przez całe życie, likwidacja sklepów prywatnych, w większości żydowskich, oraz powszechne traktowanie byłych właścicieli jako wrogów klasowych wzbudziło nieufność do władz. Mimo wszystko zdawano sobie sprawę, że właśnie ta władza uratowała nas przed tym, co nas czekało pod rządami Niemców.

Okres od października 39 do połowy czerwca 41 spędziłem we Lwowie, na studiach na Politechnice. Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej w dniu 22 czerwca 1941 zastał mnie w Boryslawiu, gdzie odbywałem praktykę w warsztatach Nafta. Pierwsze samoloty niemieckie zobaczyłem w niedzielę nad ranem, wracając z zabawy w Sokole. Ojciec zapewniał mnie, że to prawdopodobnie ćwiczenia, mimo, że słychać było wystrzały artylerii przeciwlotniczej. Pocieszałyśmy się, wbrew rzeczywistości, że to chyba nie wojna, bo jeszcze poprzedniego dnia odszedł transport ropy naftowej do Niemiec. Ale rzeczywistość wyzwoliła nas szybko ze złudzeń. Z komunikatów radiowych dowiedzieliśmy się o masowym bombardowaniu szeregu miast i o ataku wojsk niemieckich wzdłuż całej granicy. Pospiech w wycofywaniu się wojsk radzieckich, oraz wysadzanie obiektów przemysłowych nie wróżyły niczego dobrego. Po kilku dniach przestały działać urzędy miejskie, zapanowało bezkrólestwo. W pośpiechu ewakuowały się rodziny rosyjskie, a także mieszkańcy miasta, znani ze swojej lewicowej działalności, przeważnie młodzi Żydzi. Brat i ja, po smutnych doświadczeniach z ucieczki na wschód, po wybuchu wojny w 39 roku, kiedy lokalni Ukraińcy napadali i często mordowali uciekinierów, postanowiliśmy zostać razem z rodzicami. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z groźącego niebezpieczeństwa.

Wojska niemieckie wkroczyły do Boryslawia 1 lipca 1941. Natychmiast dała się zauważyć ożywiona działalność Ukraińców, a na ulicach pojawili się młodzieńcy z niebiesko-złotymi opaskami na ramionach; ochotnicza służba porządkowa. Olbrzymia większość ludności ukraińskiej była wrogo usposobiona zarówno do władz polskich, jak i do radzieckich. Z wkroczeniem wojsk niemieckich łączyli nadzieje na powstanie Wolnej Ukrainy, jako

samodzielnego państwa. Do Żydów mieli szczególnie wrogi stosunek, uważając ich za zwolenników i współpracowników władz radzieckich.

Po dwóch dniach na ulicach miasta pojawili się masowo chłopcy z okolicznych wsi ukraińskich, uzbrojeni w palki, żelazne rury, siekiery i t.p. Towarzyszyli im, jak gdyby nimi dyrygując lokalni Ukraińcy. Nagle, jak na dany znak, rzucili się grupami na domy, w których mieszkali Żydzi i bijąc wyciągali ich z mieszkań i pedzili ulicami w kierunku byłej siedziby NKWD. Napadali również na napotkanych na ulicach Żydów i znecając się w okropny sposób pedzili ich w tym samym kierunku. Wiele osób zostało zakatowanych na śmierć zanim doszli do celu. Okazało się, że Rosjanie tuż przed wycofaniem się zamordowali wszystkich więźniów, głównie Ukraińców i Polaków, aresztowanych w ostatnim czasie, zostawiając zwłoki w piwnicach budynku. Wina za popełnioną zbrodnię przypisano częściowo Żydom. Teraz nadszedł czas odwetu. Niemcy dali Ukraińcom wolną rękę w celu rozprawienia się z Żydami, rzekomo współwinnymi za terror władz radzieckich. Tym, którym mimo bicia udało się dotrzeć na miejsce, kazano umyć trupy i uporządkować miejsce zbrodni. Odbывало się to przy ustawicznym maltretowaniu i biciu niewinnych ofiar. W ciągu 24 godzin trwania tego pierwszego pogromu zginęło około 200 osób, dosłownie zakatowanych przez zbójców ukraińskich. Wielu zmarło potem wskutek odniesionych ran. Przy wyciąganiu swoich ofiar z domów napastnicy plundrowali wnętrza mieszkań, kradnąc i rabując kosztowniejsze przedmioty oraz niszczyli to czego zabrać nie mogli. Oficjalnie Niemcy w tym pogromie nie brali udziału, przypatrując się z boku całej akcji. Najbardziej ucierpieli Żydzi, mieszkający w centrum miasta, w bliższym lub dalszym sąsiedztwie byłej siedziby NKWD. Moja rodzina tym razem miała szczęście, mieszkaliśmy daleko od miejsca tragicznych wydarzeń. Na krótko przed rozpoczęciem pogromu wrócił do domu brat i podniecony opowiadał, że w centrum miasta pojawiły się grupy zamieszkowych chłopów, uzbrojonych w lomy i palki i wykrzykujących antyżydowskie wyzwiska. Przewodzili im miejscowi Ukraińcy. Ogarnął nas niepokój, ale nie mogliśmy sobie wyobrazić tragedii, jaka miała się rozegrać. O przebiegu całej akcji i jej katastrofalnych skutkach dowiedzieliśmy się od przyjaciół i znajomych, którzy sami lub ich bliscy zostali dotknięci nieszczęściem.

Wieczorem 4 lipca akcja została zakończona, w sposób nagły, podobnie jak i wybuchła. Niemcy wydali odezwę, zapewniając Żydów, że znajdują się pod opieką władz i nic im nie grozi, jeżeli podporządkują się obowiązującym zarządzeniom. Winni popełnionych zbrodni mieli ponieść surowe kary.

Po pewnym czasie opowiadał mi znajomy, powszechnie szanowany lekarz, dr Teicher, że w czasie pogromu telefonował do kolegi "po fachu" lekarza ukraińskiego, dr

Terleckiego, którego Niemcy mianowali "głowa" miasta, prosić go o interwencję. W odpowiedzi usłyszał, że on się do tych spraw nie miesza. Dr Teicher wraz z żoną popełnili samobójstwo, po uprzednim otruciu obydwu córeczek, w celi więziennej w sądzie w Drohobycz, gdzie gromadzono Żydów w czasie kolejnej akcji, po zlikwidowaniu obozu w "Dachówczarni", gdzie pracował jako lekarz, po wywiezieniu go z Borysławia.

Pogrom, rzekomo spontaniczny, wprowadził społeczność żydowską w niebywały szok. Mimo doniesień prasy o prześladowaniach Żydów w Niemczech hitlerowskich nie wyobrażaliśmy sobie, że można bezkarnie mordować ludzi tylko dlatego, że są Żydami. Zrozumieliśmy, że zostaliśmy wyjęci z pod prawa.

Wkrótce władze okupacyjne wydały cały szereg zarządzeń, mających ułatwić im kontrolę nad społecznością żydowską. Zostaliśmy zmuszeni do noszenia na prawym ramieniu białej opaski z gwiazdą Dawida, a uchylanie się od tego nakazu groziło karą śmierci. Przy spotkaniach z Niemcami należało zejść z chodnika i zdjąć czapkę. Powołano Judenrat, w którego skład weszły znane osobistości żydowskie w mieście i uczyniono ich odpowiedzialnymi wobec władz za wszystko, co dotyczyć miało Żydów, jak np. rozdzielanie racji żywnościowych, opiekę społeczną, dostarczanie wymaganej codziennie liczby robotników do różnych prac i t. d. Judenrat niezwykle skrupulatnie spełniał zadania Niemców sadząc, że w ten sposób uda się uniknąć, lub przynajmniej odwlec represje. Stopniowo Judenrat stał się narzędziem w rękach okupanta, ułatwiając mu coraz to ściślejszą kontrolę ludności żydowskiej. Wobec ustawicznego narzucania nowych obowiązków aparat Judenratu rozrastał się coraz bardziej, tworząc różne sekcje, m. i. służbę porządkową, t. zw. Ordnungsdienst, który odegrał niechwalebna rolę w akcji eksterminacji Żydów.

Wszyscy dorośli Żydzi mieli obowiązek odbycia tygodniowo 2 - 3 dni pracy przymusowej, często przekraczająca ich siłę i umiejętności, wobec czego niejednokrotnie wracali okaleczeni lub pobici przez nadzorujących Niemców lub Ukraińców. Dla uniknięcia tego rodzaju przypadkowości, postaraliśmy się z bratem o pracę o charakterze bardziej stałym. Przez kilka tygodni pracowaliśmy na terenie byłej elektrowni, przy demontażu wież chłodniczych. Praca na dużej wysokości, była bardzo niebezpieczna, a nadzorujący Niemcy wcale nie dbali o jakiegokolwiek zabezpieczenia robotników - Żydów. Nieostrożny krok groził runięciem w dół i w najlepszym razie kalectwem. Pewnego dnia byłem bliski upadku, ale podtrzymał mnie pracujący obok robotnik.

Po ukończeniu tej pracy zatrudniono nas przy urządzaniu Deutsches Haus (Dom Niemiecki), w jednym z najelegantszych domów żydowskich, w centrum miasta.

Wykonywalismy roboty stolarskie i instalacyjne, woda i gaz, pod kierunkiem fachowca, również Żyda. Obok korzyści osobistych - nauczyliśmy się dużo nowych rzeczy, co miało nam się przydać przy wielu okazjach, a najważniejsze przy budowie kryjówki - praca odbywała się wewnątrz budynku, nie byliśmy więc narażeni na zmienne pogody, oraz bez stałego nadzoru Niemców.

Kolejnym miejscem pracy, o charakterze nieco dłuższym, była siedziba Polizei-Reiterzug (policja konna). Budowaliśmy stajnie dla koni policyjnych. Kierownikiem robót był nasz znajomy, inż. Polainer. Policjanci, głównie młodzi chłopcy, mieli okropną opinię, wcale zasłużoną. Przy każdej okazji znecali się nad spotykanymi Żydami, bijąc ich bez najmniejszego powodu. Przechodząc obok komendy policji, która mieściła się w samym centrum miasta, należało zdjąć czapkę i klaniać się wartownikom. Biorąc udział w akcjach odznaczali się szczególnym okrucieństwem. O dziwo nie doznaliśmy ze strony tychże policjantów żadnych szykan, często wdawali się z nami w rozmowę, wypytując o warunki życia i t.p. Dostawaliśmy zwiększoną rację chleba i byliśmy chronieni przed wybrykami ukraińskiej policji. Tak nam się przynajmniej wydawało.

O stosunkach jakie z czasem wytworzyły się między nami a poszczególnymi policjantami świadczy następujący fakt. Moja kuzynka, najstarsza córka Schallerów, wyszła za mąż przed wojnę i wraz z mężem i synkiem mieszkała we Lwowie. Mąż, lekarz, został zabrany do obozu na Janowskiej po likwidacji szpitala żydowskiego, w którym pracował po wkroczeniu Niemców. Kuzynka wraz z dzieckiem znalazła się bez środków do życia, ustawicznie narażona na śmiertelne niebezpieczeństwo. We Lwowie trwały permanentne łapanki, szczególnie na kobiety niepracujące i dzieci. Napisała rozpaczliwy list do rodziców, błagając o pomoc. Należy pamiętać, że Żydom nie wolno było poruszać się poza miejscem zamieszkania. W tej sytuacji, nie mogąc pozostawić jej na pewną śmierć, zwróciłem się do jednego z policjantów, z którym uprzednio wielokrotnie rozmawiałem, opowiedziałem mu o co chodzi i prosiłem o pomoc. Wezwał drugiego i razem tłumaczyli mi jak bardzo by się narazili, przewozić Żydówkę z dzieckiem - chłopcem ze Lwowa do Borysławia. Ale następnego dnia wezwali mnie do pomieszczenia obok stajni i oświadczyli, że wybierają się samochodem do Lwowa i gotowi są przywieźć kuzynkę z dzieckiem. Podalem im adres ale nie chcieli przyjąć listu do kuzynki, tłumaczyć mi, że to dla nich niebezpieczne na wypadek jakiejś kontroli. Mieli tylko podać kuzynce moje imię i powiedzieć, że u nich pracuje. Po kilku dniach kuzynka wraz z dzieckiem była w Borysławiu. Pragnę podkreślić, że nie zadali żadnej zapłaty. Z własnej inicjatywy podarowałem im kupon na ubranie. Kuzynka mi opowiedziała, że ogarnęło ją przerażenie, kiedy nagle pojawili się dwaj policjanci i poprosili by szybko się spakowała i że zabiorą ją do rodziców.

Była przekonana, że zawioza ją na Janowska, dokąd ciągle wywozili Żydów. Ale gdy podali jej szereg szczegółów o mnie uwierzyła. Była to zresztą jedyna szansa ratunku. Z dzieckiem wsiadła do samochodu i w towarzystwie dwóch młodych policjantów, po kilku godzinach, zajęła pod dom rodziców.

Wśród policjantów, głównie młodych ludzi, szczególnie naszym losem interesował się starszy Niemiec, którego tytułowano Herr Futtermeister. Często podchodził do nas, wdawał się w rozmowę, pytając czy nie głodujemy, czy nas dobrze traktują i t.d. Wielokrotnie, zazenowany, wciskał rozmówcy bochenek chleba lub coś innego z żywności.

Okazuje się, że i tacy znaleźli się Niemcy.

28 listopada 1941 r. wyszliśmy jak zwykle do pracy, ale w niedalekiej odległości od domu zostaliśmy zatrzymani przez dwóch ukraińskich policjantów, z czego jeden znajomy, o nazwisku Wepryk, którzy nakazali nam wrócić w ich towarzystwie do domu. Mimo próby wyjaśnienia, że spóźnimy się do pracy, zaczęli przeglądać zawartość szaf i innych mebli, po czym wyprowadzili rodziców i nas na ulicę, gdzie już stała grupa Żydów, a między nimi nasz wuj Schaller. Całą grupę, około 40 osób, popędzono w kierunku miasta. Na pytania dlaczego i dokąd nas prowadzi odpowiadali wyzwiskami. Szliśmy dwójkami, ja razem z wujkiem. Był bardzo niespokojny i w pewnej chwili powiedział "chyba nas zabija". Próbowałem go uspokoić, że to niemożliwe i że pedza nas do jakiejś roboty. Po drodze zauważyliśmy więcej pedzonych Żydów w tym samym kierunku. Nie nadążających policjanci bili kolbami karabinów. W końcu znaleźliśmy się w posterunku ukraińskiej policji. Panował tu niesamowity tłok, słychać było płacz i nawoływania rozdzielonych członków rodzin, a przede wszystkim wrzask niemieckich i ukraińskich policjantów, którzy biciem i krzykiem usiłowali uciszyć tłum. Gdy zbliżyłem się do Niemca, który wydawał się kierować akcją, ten na mnie ryknął "was machst du hier" (co ty tu robisz). Powiedziałem, że zabrano nas w drodze do pracy w Reiterpolizei. Zdziwił się i kazał nam natychmiast, razem z ojcem, wrócić do pracy. Na moją uwagę, że mogą nas znowu złapać odpowiedział "Scheisse (gówno), znowu tu was przyprowadza". Wuję niestety straciłem z oczu, bo byłbym też próbował twierdzić, że pracuje razem z nami, a matkę oddzielili od nas do kobiet. Bez kłopotów dotarliśmy do miejsca pracy, gdzie zebrani robotnicy już wiedzieli co się działo w mieście. Wieczorem akcja została przerwana i wróciliśmy do domu, niestety bez matki. Mielismy jednak nadzieję, że wysłali ją do jakiegoś obozu pracy i że po pewnym czasie wróci.

Okazało się, że Niemcy zaszali od Judenratu sporządzenia listy osób niezdolnych do pracy, inwalidów, chronicznie chorych i t.p. Na podstawie tego spisu policja ukraińska już w nocy na 28 listopada chodziła pod wskazane adresy i wyciągała przerazonych Żydów, mężczyzn

i kobiety, z łózek, ustawiała ich w większe grupy i pedzila na policje. Często celowo zabierali ludzi zdrowych, nie będących na liście, zamiast ułomnych. Tak padł ofiara mój wuj, którego policjanci świadomie zabrali zamiast brata, który jako częściowo sparalizowany, znalazł się na liście. Z własnej nadgorliwości zabrali również jedną z córek, która szczęśliwie została zwolniona z posterunku policji. Ponadto policjanci zabierali ludzi, na których się natknęli przypadkowo, lub których znali i chcieli się na nich, nie wiadomo za co, zemścić. W ten właśnie sposób cała nasza rodzina, choć nie byliśmy na liście, znalazła się wśród ofiar akcji.

Dowiedzieliśmy się po pewnym czasie, że łącznie wywieziono z domów ponad 800 osób i wszystkich w tym samym dniu zamordowano w lasach w Tustanowicach i w drodze do Schodnicy, osiedla odległe o kilka kilometrów od miasta. Odpowiedzialni za sporządzenie spisu zdawali sobie sprawę, jaki los czeka tych ludzi, ale o ile mi wiadomo, nie ostrzegli nikogo.

Utracie matki, mimo że wierzyliśmy, że po pewnym czasie jednak wróci, przeżywalismy niezwykle bolesnie. Była ona najważniejsza osoba w rodzinie, na niej spoczywał cały ciężar prowadzenia domu w tym ciężkim okresie, kiedy coraz trudniej było z zaopatrzeniem w żywność. Otrzymywane przydziały były bardzo skromne, a chłopcy ukraińscy nie chcieli przyjmować pieniędzy, żądając za nielegalnie dostarczane produkty rolne odzież lub inne sprzęty gospodarstwa domowego. W dalszym ciągu pracowaliśmy z bratem w Reiterzugu, a ojciec chodził dorywczo do wskazanej przez Judenrat pracy. W ten sposób minęła zima, która przy niedostatecznym odżywianiu dała się szczególnie we znaki. Coraz częściej ludzie znikali w nieustających łapankach i regularnych aresztowaniach, pod różnymi zarzutami. Kilkakrotnie Niemcy lub ukraińska policja dokonała rewizji w naszym domu, nie wiadomo z jakiego powodu. Przy każdej okazji zabierali co im wpadło w ręce. Prośby nasze by nie niszczyli przynajmniej tego czego nie zabierali, kończyły się najczęściej biciem. Pamiętam z jakim zadowoleniem i śmiechem tłukli butle z winem, przygotowanym tradycyjnie na święta wielkanocne, zalewając całą piwnicę. Z czasem dowiedzieliśmy się, że sąsiedzi donosili, że przechowujemy skóry ze zlikwidowanego sklepu, co oczywiście było nonsensem, bo sklep został zlikwidowany w 1939 r. po wkroczeniu Rosjan.

Pewnego dnia zwrócił się do mnie ojciec bliskiej koleżanki, inż. Engelberg, który zajmował czołowe stanowisko w Judenracie, z propozycją bym pojechał do Skolego, miejscowości leżącej w pobliżu granicy z Węgrami i w ostrożnych rozmowach z kilkoma wskazanymi Żydami zbadał możliwości przekroczenia granicy. Zaopatrzony w odpowiednie przepustki, wydane przez policję, pojechałem do Skolego. Pomimo, że nosiłem opaskę z gwiazdą Dawida na ramieniu, nikt mnie nie zatrzymał w czasie całej podróży. Mimo odpowiednich

zaswiadczen wyprawa taka nie byla pozbawiona niebezpieczenstwa. W tym czasie ludzie, nie tylko Zydzi, znikali bez sladu. Przenocowalem w Skolem i wróciłem do Boryslawia właściwie z niczym. Ludzie, z którymi rozmawialem, byli niezwykle ostrozni w wypowiedziach. Wyraznie sie bali ewentualnej prowokacji, choc byli uprzedzeni o moim przyjeździe. Dowiedzialem sie, ze sa jakies, blizej nieokreslone mozliwosci przejścia granicy, znali nawet kilku ludzi, którzy trudnili sie przemytem, ale nie wiedzieli co czeka po drugiej stronie. Wyraznie chcieli bym jak najszybciej wyjechal. Po powrocie zdam dokładna relacje z powierzonej mi misji i właściwie sprawa na tym sie skonczyla. O ile mi wiadomo nikt z tej drogi nie skorzystal.

Wiosna 42 r. skonczyliśmy prace przy budowie stajni w policji konnej i dzięki panu Mesarosz, (z pochodzenia Wegier), który zajmowal kierownicze stanowiska w przemyśle naftowym, otrzymalismy stosunkowo bardzo dobra prace w ksiegowosci materialowej w dyrekcji Beskiden, której podlegal cały przemysl naftowy. Przy aktywnej pomocy brata, który uczeszczal do szkoły handlowej i dzięki znajomosci niemieckiej terminologii materialów technicznych dawalem sobie jako tako rade. Pracowala tam wieksza grupa inteligencji zydowskiej, głównie byli pracownicy przemyslu naftowego, ale tez i tacy, którzy, podobnie jak ja, nigdy nie mieli z tym nic wspólnego. Bezposrednim zwierzchnikiem byl Niemiec, dyr. Fischer, który okazal sie bardzo porzadnym czlowiekiem, opiekujac sie doslownie swoimi pracownikami. Otrzymalismy legitymacje jako pracownicy przemyslu naftowego, które chronily nas od lapanek do przypadkowych, najczesciej ciezkich robót ziemnych, a w zwiazku z tym, ze przemysl naftowy mial szczególne znaczenie dla wojska, otrzymalismy specjalne oznaki, w postaci duzej litery "R" (Ruestungsindustrie), które nosilismy na piersiach. Oznaka ta teoretycznie chronila nas od wywózek i innych akcji, choc czasami zdarzaly sie "pomyłki", kiedy policjant, Niemiec czy Ukrainiec, zerwawszy oznake wysylal nieszczesnika na punkt zborny przed transportem na zaglade.

Unormowana praca w stosunkowo bardzo dobrych warunkach jak na ogólna sytuacje Zydów, stopniowo wpłynela na pewnego rodzaju uspokojenie, szczególnie, ze przekonywano nas jak wazna jest nasza praca dla przemyslu naftowego. Zaczelismy zywic nadzieje, ze uda sie przetrwac okupacje i mimo sukcesów niemieckich na froncie wschodnim wierzyliśmy, ze wojna skonczy sie zwyciestwem aliantów. Od czasu do czasu dochodzily nas coprawda wiadomosci o tworzeniu gett w różnych miejscowosciach, o sporadycznych aresztowaniach i znikaniu ludzi, ale odpychalismy od siebie tego rodzaju informacje, wierzac, ze nas to nie dotyczy. Dyrekcja zalatwila dla nas zwiekszone racje zywnosciowe, a niedobór pokrywalismy, zamieniajac rzeczy z domu, głównie odziez, na zywnosc u lokalnych wiesniaków, co oczywiscie bylo nielegalne i

polaczone z duzym ryzykiem.

Rzeczywistosc wygladala jednak dla wiekszosci ludnosci zydzowskiej zupełnie inaczej. Spora czesc Zydów skládala sie z rzemieslników i drobnych kupców. Nie mieli oni zadnych zapasów. Obowiazek dostarczenia przez Judenrat codziennych kontyngentów pracowników do różnych, najczesciej ciezkich robót fizycznych obejmowal glównie własnie te warstwy spoleczenstwa. Niedostateczne racje zywnosciowe, wydawane przez Judenrat i brak mozliwosci dokupienia czegokolwiek, spowodowaly glód, który zagladal do coraz wiekszej ilosci rodzin. Ciezka praca, przy niedostatecznym odzywianiu oraz pogorszone warunki sanitarne sprzyjaly szerzeniu sie chorób. Pojawily sie przypadki tyfusu plamistego, które w braku lekarstw konczyly sie smiercia. Niemcy nakazali scisla izolacje mieszkán ludzi chorych, a na wejsciach musiala byc umieszczona nalepka z napisem Fleckfieber (tyfus plamisty), co bylo jednoznaczne z zakazem wejścia lub opuszczenia mieszkania. Czesto konczylo sie to smiercia calych rodzin. Wracajac kiedyś z pracy mój brat zauwazyl biala wesz (nosiciele zarazy) na moim karku. Z przerazeniem czekalismy kiedy zachoruje. Ale na szczescie skonczylo sie na strachu.

Mimo braku mozliwosci regularnego komunikowania sie miedzy Zydami z innych miast dochodzily nas od czasu do czasu wiadomosci o różnych akcjach antyzydzowskich, aresztowaniach wsród inteligencji i bogatszych Zydów, a takze mordowaniu ludzi w czasie pracy za najdrobniejsze uchybienia, najczesciej rzekome. Celowali w tym policjanci Ukraíncy, którzy nadzorowali roboty. Czeste rewizje w domach zydzowskich, m.i. i u nas, mialy charakter najzwyczajszego rabunku, polaczonego z pobiciem wlascicieli i niszczeniem tego czego zabrac nie mogli.

W oczekiwaniu na jakies radykalne zmiany na froncie wschodnim oraz na otwarcie frontu zachodniego minela wiosna i rozpoczelo sie bardzo cieple lato. Dzieki dobrym stosunkom sasiedzkim mialem czesto okazje do sluchania radia BBC (u Czajkowskich). Niestety wiadomosci z Londynu nie dawaly podstaw do optymizmu, raczej wręcz odwrotnie.

W dniu 6 sierpnia poszlismy z bratem, niczego nie podejrzewajac, do pracy. W biurze dowiedzielismy sie, ze w nocy rozpoczela sie szeroko zakrojona akcja. Różne jednostki policji lokalnej oraz przybylej z innych miast, przy wspólmudziale Ordnungsdienstu, urzadzily oblawe na ludzi niepracujacych w calym miescie. Ufajac w nasze oznaki "R" pobieglismy na Wolanke, gdzie mieszkala nasza rodzina, Schallerowie. Okazalo sie, ze jedna z córek, Szanke, w nocy zabrali czlonkowie Ordnungsdienstu, na szczescie tylko do pomocy. Wyprowadzilismy cala rodzine, lacznie 4 osoby; siostra mojej matki Taube, jej najmłodsza córka Lusja, oraz najstarsza córka Itta z synkiem Adamem (sprowadzonych kilka miesiecy przedtem ze Lwowa), z mieszkania i

ulokowalismy ich na pietrze w stodole, zamaskowujac miejsce sianem. Wydawalo nam sie, ze nikt tego nie zauwazyl. Brat wujka, czesciowo sparalizowany, Zisio, odmówil ukrycia sie i pozostal w mieszkaniu.

Wrócilismy z bratem, unikajac głównych ulic, do biura, gdzie panowal nastrój przygnebienia i niepewnosci. Nikt nie wiedzial kto podlega akcji, jaki los spotkal ewentualnych członków rodzin i jak długo to potrwa. Kierownictwo, głównie Fischer, staralo sie nas uspokajac twierdzac, ze nas to nie dotyczy. Pozwolono nam nocowac w biurze i umozliwiono nam korzystanie ze stolówki, mieszczacej sie na terenie biura. Telefonicznie (w biurze istnial jeden telefon, wyłacznie do celów sluzbowych) kontaktowalismy sie z Judenratem, gdzie panowal ogólny chaos i otrzymywane wiadomosci najczesciej byly sprzeczne. Jedno bylo jasne. Kierownictwo Judenratu nie mialo zadnego wpływu na to co sie dzialo. Nawet ci, którzy mieli t.zw. dobry kontakt z wladzami miejscowymi, byli bezsilni poniewaz akcja kierowaly specjalne jednostki SS-Einsatzkommando, przybyly w tym celu do miasta. Lokalna policja niemiecka, ukraińska oraz członkowie Ordnungsdienstu gorliwie współdzialaly w polowaniu na ofiary.

Zaufanie do lokalnej policji zakonczylo sie tragicznie dla rodzin najwyzszych dostojników Judenratu, o czym dowiedzielismy sie potem. Okazalo sie, ze zostali oni uprzedzeni przez lokalne kierownictwo Schupo (Schutzpolizei) o zblizajacej sie akcji i pozwolono im ukryc najblizszych członków rodzin w piwnicach policji. Nie wiadomo dlaczego, prawdopodobnie wskutek donosu, do pomieszczen policji wpadla grupa SS-owców i wyciagnela wiekszosc ukrytych w piwnicach, głównie zony i dzieci kierownictwa Judenratu. Podzielili oni los innych nieszczesników. Wydarzenie to wywolao fale oburzenia wśród Zydów. Okazalo sie, juz po raz drugi, (podobnie jak w listopadzie), ze Judenrat, wiedzac o majacej nastapic akcji, zatail to przed społeczeństwem.

U nas w biurze od czasu do czasu ktos nie wytrzymal i pobiegl do pozostawionych w domu bliskich. Najczesciej nie wracal, a ci którzy wrócili opowiadali o strasznej tragedji, która rozgrywala sie w miescie. Z różnych stron miasta pedzono tłumy Zydów, głównie kobiety, dzieci, starców i inwalidów, wśród wrzasków i bicia przez policje i ujadania psów, w kierunku dworca kolejowego. Z rozmiarów akcji odnosilo sie wrazenie, ze ma miejsce calkowita likwidacja społeczności zyduwskiej miasta. Po trzech dniach akcja zostala zakonczona. Odrazu pobieglismy z bratem do domu Schallerów. Z przerazeniem stwierdzilismy, ze wszyscy ukryci przez nas w stodole zostali zabrani, a w mieszkaniu na łózku lezal zastrzelony brat wujka, Zisio, który nie chcal sie ukryc. Zginal, zamordowany na własnym łózku, jak człowiek, uniknawszy ponizenia i strasznych cierpien, których Niemcy zgotowali tysiacom ofiar transportowanych w nieludzkich

warunkach do obozu zagłady w Belczu. Pochowaliśmy go na cmentarzu żydowskim w Boryslawiu. Reszta rodziny, jak większość ofiar żydowskich, grobu nie posiada. Z całej rodziny, złożonej z 7 osób, pozostała tylko jedna córka, Szanka, która na początku akcji zabrano do pomocy w sortowaniu ubrań i t.p. Nasz ojciec uratował się, podobnie jak my, w miejscu pracy.

O rozmiarze katastrofy, która spotkała społeczeństwo żydowskie miasta zdaliśmy sobie sprawę dopiero po kilku dniach. Okazało się, że wywieziono około 6000 osób, ponad 40 % ludności żydowskiej miasta. Niemcy nie przebierali. Wśród ofiar znaleźli się mężczyźni, kobiety, młodzi, starcy i dzieci, zarówno ludzie zdrowi jak i chorzy, a niezdolnych do transportu zabijano na miejscu. Zdarzało się też, że pracującym, którzy legitymowali się zaświadczeniami pracy, niszczone dokumenty a posiadaczy wywieziono. Celowali w tym ukraińscy policjanci, którzy odznaczali się szczególną brutalnością.

Po wnikliwej naradzie z kuzynką, która straciła całą rodzinę, doszliśmy do wniosku, że powinna wyjechać z Boryslawia, szczególnie, że z wyglądu nie przypominała Żydówki. Szczęśliwie udało się zdobyć "aryjską metrykę" o nazwisku Władysława Jaworska, a we Lwowie ukrywała się siostra szwagra u Polaków, którzy zgodzili się ją też przyjąć. Po krótkich przygotowaniach odprowadziłem ją na dworzec i pożegnaliśmy się, nie mając większej nadziei, że się jeszcze kiedyś zobaczymy. Po kilku dniach otrzymaliśmy pośrednio wiadomość, że szczęśliwie dotarła na miejsce. Był to koniec sierpnia lub początek września 1942.

Okazało się, że rzeczywistość zupełnie odbiegała od przewidywań. Spotkaliśmy się po kilku miesiącach. Pobyt kuzynki we Lwowie w dużym stopniu przyczynił się do mojego uratowania się. Po ucieczce z obozu na Janowskiej udałem się wprost do niej, a ludzie, którzy jej pomagali zgodzili się bezinteresownie udzielić mi schronienia, wiedząc skąd przychodzi i co za to grozi. Pragnę w tym miejscu wyrazić moje najserdeczniejsze podziękowanie rodzinie Podolczaków. Cześć i chwała ludziom, którzy z narażeniem własnego życia, w odróżnieniu od większości społeczeństwa, nie mogli beczynn timer patrzeć na mordowanie niewinnych ludzi, współobywateli.

Nie wszystkim dane było uratować się w podobny sposób jak kuzynce. Pewnego dnia zaprosił mnie do siebie inż. Polainer, który wraz z żoną i jedyną córką, Rutką, uciekli po wybuchu wojny z Warszawy i schronili się w Boryslawiu, gdzie mieli krewnych i znajomych. Poznałem ich przez spokrewnioną z nimi rodzinę Engelbergów, z których córka byłam zaprzyjaźniona. Jak wspomniałem wyżej, pracowaliśmy z bratem pod jego kierownictwem przy budowie stajni w policji konnej. Po krótkiej rozmowie powiedział mi w zaufaniu, że postanowili wysłać Rutkę do znajomych w Warszawie, którzy wyrazili gotowość ją przyjąć pod warunkiem,

ze będzie miała odpowiednie dokumenty. Wyraził przy tym nadzieję, że może mu w tym pomóc. Zaniepokojony zapytałem dlaczego tak uważa, odpowiedział, że tak przypuszcza. Obiecałem, że wróce do tego po kilku dniach.

Od pewnego czasu, pracując w dyrekcji Beskiden zapoznaliśmy się z bratem dokładnie z rozmieszczeniem i organizacją pracy różnych sekcji kierownictwa. W budynku naprzeciwko naszego biura urzędował dyrektor działu personalnego z podległą mu sekcją, która wydawała zaświadczenia pracy (Arbeitsausweis). Dokument taki często decydował o życiu i śmierci Żyda, ale także o losie nie-Żydów. Zatrzymani w łapankach ulicznych ludzie niepracujący byli narazeni na wysłanie do pracy w Niemczech. Po dłuższych staraniach udało nam się dorobić klucze zarówno do wejścia do budynku a także do szafy, gdzie przechowywano blankiety zaświadczeń oraz pieczątki firmowe. W nocy, po godzinie policyjnej wielokrotnie odwiedziliśmy biuro, wystawiając sporo dokumentów dla bliskich znajomych, którzy byli bez pracy. Pragnę podkreślić, że w frontowym budynku pełnili służbę dwaj uzbrojeni członkowie straży przemysłowej (Werkschutz), którzy regularnie obchodzili cały teren. Ponadto przebywanie na ulicach po godzinie policyjnej było bardzo niebezpieczne, szczególnie dla Żydów bez opaski. Zdawaliśmy sobie z tego oczywiście sprawę, ale jednocześnie pragnęliśmy pomóc zagrożonym.

Po kilku dniach spotkaliśmy się u Polainerów i wyraziłem gotowość dostarczenia zaświadczenia dla córki pod warunkiem, że ona nie będzie wiedziała kto to załatwił. Było to konieczne. Gdyby ją złapali mogłaby nas wydać. W rozmowie brała udział również zona, która w pewnej chwili powiedziała, że Rutka sama boi się wyjechać i że planują wyjazd z dwiema koleżankami, które oczywiście również potrzebują zaświadczenia. Nie mogłem się wycofać, tym bardziej, że znalazłem obie. Wystawiliśmy 3 zaświadczenia; dla R. Polainer, L. Löwentahl oraz N. Kolber, na nazwiska przez nich podane. Po trzech dniach dowiedzieliśmy się, że zostały rozpoznane na dworcu głównym w Drohobyczu i aresztowane przez policję. Po krótkim czasie zostały rozstrzelane.

Sprawa ta przybrała niespodziewane konsekwencje, ale nie dla nas. Byliśmy spokojni ponieważ Polainer zapewnił mnie, że dziewczęta zgodnie z umową, nie znają pochodzenia zaświadczeń. Natomiast do dyrekcji przyjechało kilku Gestapowców z Drohobycza i w sposób niezwykle brutalny zarzucali dyrektorowi Beitzowi, że to jest jego podpis, a więc on musiał wystawić zaświadczenia. Według relacji pracujących tam Żydów doszło nawet do bicia. Po pewnym czasie sprawa jednak ucichła. Byliśmy potem bardziej ostrożni w wystawianiu zaświadczeń.

W dalszym ciągu pracowaliśmy w księgowości materialowej. Lato było w tym roku

wyjatkowo pogodne. Dzięki zdobywanej nielegalnie żywności za zamieniane u chłopów rzeczy nie cierpielismy głodu. Mimo niekorzystnie rozwijającej się sytuacji na froncie nie opuszczała nas wiara w ostateczną klęskę Niemiec i wraz z tym nadzieja, że może jednak uda się przetrwać, tym bardziej, że ciągle nas zapewniano jak ważna jest nasza praca dla przemysłu zbrojeniowego. Spokój w jakim Niemcy pozwalali nam pracować był jednak pozorny. Od czasu do czasu dowiadywaliśmy się o aresztowaniach, rewizjach, pobiciu na ulicy za niedostatecznie szybkie zejście z chodnika i zdjęcie czapki przy spotkaniach z Niemcami. Niespodziewanie ludzie znikali bez powodu. Tu i ówdzie likwidowano mniejsze placówki pracy, a pracujących tam Żydów wywozono. Tłumaczono nam i chcieliśmy w to wierzyć, że przenoszono ich do roboty poza Borysławiem. Jednocześnie nasilały się przypadki śmierci z powodu chorób, a w szczególności głodu wśród biedniejszych grup społeczeństwa. W ten sposób liczba żydowskich mieszkańców gwałtownie malała.

W październiku 1942 roku władze wydały zarządzenie o utworzeniu "Dzielnicy Żydowskiej" w północnej części miasta, jednej z najbardziej zaniedbanych dzielnic. Poza pozostałą częścią rdzennych mieszkańców Borysławia zwieziono do Dzielnicy Żydów z okolicznych wsi. Ciasnota była okropna. Często w jednej izbie gniezdziło się po kilka osób. Niektórym udało się ulokować u znajomych, którzy mieli większe mieszkania, innych Judenrat dokwaterowywał przymusowo. Nam z ojcem udało się otrzymać stosunkowo duży pokój u rodziny Langermanów, przy centralnej ulicy, która ograniczała Dzielnicę od południa. Z oczywistych powodów większość rzeczy musieliśmy zostawić w domu. W czasie przenoszenia się do Dzielnicy Żydzi sprzedawali wszystko, czego zabrac nie mogli, za bezcen okolicznej ludności, głównie rolnikom za żywność.

Żywot Dzielnicy nie był długotrwały. Po kilkamiesięcznym, stosunkowo spokojnym okresie po akcji sierpniowej, Niemcy przystąpili do systematycznej akcji likwidacji Żydów. Rozpoczęły się polowania na t. zw. elementy pasożytnicze, do których zaliczali niepracujące kobiety, dzieci, starców, inwalidów a także takich, którzy chwilowo w przemyśle lub innych przez nich uznawane za ważne placówkach pracy dostać nie mogli. Dodac należy, że poza "legalnymi mieszkańcami" w dzielnicy schroniło się sporo ludzi z poza Borysławia, u krewnych lub przyjaciół, po zupełnej likwidacji w ich miejscu zamieszkania, oraz tacy, którzy stracili możliwość dalszego ukrywania się u "aryjczyków". Byli też tacy, którzy rzemiosłem i drobnym handlem zarabiali na skromne utrzymanie. Wszyscy oni byli stale narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo.

W październiku wybuchła kolejna, 4-ta akcja. Wtedy jeszcze przypisywaliśmy akcjom

numer kolejny. Pod kierownictwem przybyłych do miasta dowódców SS, lokalna policja niemiecka, Schutzpolizei, Polizei-Reiterzug, ukraińska policja przy współudziale żydowskiego Ordnungsdienstu, grupami przetrzasali dom za domem w poszukiwaniu kryjówek, w których schronili się ludzie nie posiadający ważnych zaświadczeń pracy. Ofiarą padło kilkaset osób, głównie ludzie chorzy, starcy, którym dotąd udało się przetrwać, kobiety i dzieci. Byli też i tacy, których miejsc pracy nie uznano za dostatecznie ważne. Ludzie ci podzielili los ofiar pogromu sierpniowego, którzy jak dowiedzieliśmy się z czasem zgineli w obozie zagłady w Belzcu. Po kilku dniach akcja została zakończona.

Ale spokój nie trwał długo. W listopadzie Niemcy zorganizowali kolejne polowanie na mieszkańców Dzielnicy. Akcja ta, 5-ta z kolei, trwała chyba najdłużej, bo aż 4 tygodnie bez przerwy. Kryteria wybrnięcia się zaostrzono co raz bardziej. Likwidowano całkowicie mniejsze placówki pracy, zabierając wszystkich robotników-Zydów. Ustawiczne oblawy w Dzielnicy dostarczyły setki nowych ofiar. Nieszczęśników gromadzono w lokalach dawnych kin, Colosseum oraz Grażyna, a stamtąd wywozono na dworzec kolejowy, do kolejnego transportu do Belzca. W miejscach zgromadzenia trzymano ludzi przez kilka dni bez jedzenia i picia. Czasem udało się Judenratowi dostarczyć ofiarom nieco pożywienia.

W wyniku tych akcji oraz sporadycznych aresztowań i łapanek liczba mieszkańców Dzielnicy spadła do tego stopnia, że została ona zlikwidowana, a pozostałych Żydów zamknięto w obozie pracy przymusowej - Zwangsarbeitslager Mraznica. Obóz podlegał policji SS, a więźniowie pracowali głównie w Beskiden. (Nazwa Beskiden została z czasem zmieniona na Karpathen Öl AG). W obozie mieszkano około 2000 osób, w tym część nielegalnie. Poza głównym obozem (który nazywaliśmy koszary), było jeszcze kilka mniejszych zgromadzeń pracujących Żydów, gdzie pracowało kilkaset osób - Sägewerke (tartaki), Stadtverwaltung (zarząd miasta). Placówki te nie pracowały dla Beskiden.

Pragne poświęcić kilka słów pewnemu epizodowi, który ilustruje totalność tragedii społeczeństwa żydowskiego w czasie okupacji. Mieliliśmy psa owczarka, którego brat przyniósł do domu jako szczeniaka na kilka lat przed wybuchem wojny. Nazwaliśmy go Nero. Wyrósł na dużego psa - domowego stróża. Byliśmy do niego bardzo przywiązani, a on odwzajemniał się podobnym uczuciem. Gdy przyszedł nakaz opuszczenia domu i przeniesienia się do Dzielnicy Żydowskiej, nie mieliśmy warunków by go zatrzymać. Oddaliśmy go znajomemu, który miał gospodarstwo poza miastem i który wielokrotnie wyraził pragnienie posiadania takiego psa. Wierzyliśmy, że będzie miał dobrze u nowego właściciela. Po kilku tygodniach, nagle drzwi biura, w którym pracowaliśmy, otworzyły się i na salę wszedł dyr. Siegesmund, jeden z członków kierownictwa Beskiden, a zanim wpadł Nero i o mało go nie przewrócił. Siegesmund zaczął

wrzeszczec "wem gehört der Hund" (czyj to pies). Balismy sie przyznac, ale pies znalazl brata i przykucnal obok niego. Nie bylo rady. Brat wyprowadzil go z sali, na której zapanowalo chwilowe zamieszanie. Ale Siegesmund nie zareagowal. Widocznie lubil psy. Podkreślam, ze pies nigdy nie byl w tej dzielnicy, odleglej od naszego domu. Jak nas znalazl? Niestety musieliśmy odprowadzic go do nowego właściciela. Po pewnym czasie zjawil sie u nas znajomy, właściciel psa, pytajac czy nie ma u nas psa, bo znowu zdolal uciec, mimo ze byl uwiązany na lancuchu. Dowiedzielismy sie, ze Nero tym razem uciekl do naszego domu, gdzie po okolo tygodnia w dramatycznych warunkach zakonczyl zycie. Podzielil los właścicielki - naszej matki, do której byl chyba najbardziej przywiązany.

Niemcy nietylko wymordowali Żydów we wszystkich okupowanych i sprzymierzonych krajach, (za wyjatkiem Bulgarji i Finlandji, w których kierownictwo odmówilo wydania Żydów), zagrabili ich majatki, zniszczyli bezpowrotnie wielowiekowa kulture tego narodu, ale również zwierzeta domowe podzielimy los swoich właścicieli.

SS- ZWANGSARBEITSLAGER JANOWSKA LEMBERG

Droga do, pobyt w i ucieczka z SS-owskiego obozu pracy przymusowej

"J A N O W S K A" we L W O W I E

W sierpniu 1942 r. miała miejsce trzecia skolei akcja, t. zw. wielka. Specjalne oddziały SS-Einsatzkommando przy współudziale lokalnej policji niemieckiej, ukraińskiej policji i członków żydowskiego Ordnungsdienstu, chodziły od domu do domu zabierając wszystkich, którzy nie zdołali się ukryć; kobiety, starców, małe dzieci formowano w kolumny i pędzono na dworzec kolejowy. Niezdolnych do chodzenia, obłożnie chorych zabijano na miejscu. Tak zginął brat mojego wuja, Zisia Schaller. Reszta rodziny, dwie kobiety i dwoje dzieci, wyciągnięto z naprędce urządzonej kryjówki, wskazanej policji przez lokatorów, Polaków, od lat mieszkających w tym domu i żyjących zdawałoby się w zgodzie z właścicielami. Z rodziny, składającej się z 7 osób pozostała tylko jedna córka. Sporo rodzin przestało w ogóle istnieć. Nie było chyba rodziny, która by nie utraciła kogoś. Chronieni byli tylko Żydzi, pracujący w przemyśle naftowym, ale również i takich często zabierano "przez pomyłkę". W akcji, która trwała trzy dni wywieziono z miasta około 6000 osób - około 40% ludności żydowskiej Borysławia.

Po tej akcji zrozumieliśmy co nas czeka. Po drugim pogromie, w listopadzie 1941 r, w którym zabrano z domów około 800 osób, m. i. moja matkę, ludziliśmy się, że ludzi tych wywieziono do jakiegoś obozu pracy. Trudno było sobie wyobrazić, że bez powodu morduje się ludzi tylko dlatego, że są Żydami. Chcieliśmy wierzyć że gdzieś żyją. Kłamały nawet plotki, że ktoś otrzymał jakiś list. Czepialiśmy się każdej iskierej nadziei. Jak się okazało po okupacji, ludzi tych rozstrzelano natychmiast w okolicznych lasach, w drodze do Schodnicy i w Tustanowicach. Z inicjatywy mojego brata, Zwi Heiliga, staraniem grupy obywateli izraelskich, pochodzących z Borysławia, ustawiono w 1993 r. na miejscach stracen pomniki.

Po pogromie sierpniowym nie mieliśmy już żadnych złudzeń. Trudno było sobie wyobrazić, że małe dzieci lub starców można było wykorzystać do jakiegokolwiek pracy. Zaczęły też dochodzić nas wieści o istnieniu obozów zagłady. Do takiego właśnie obozu w Belczu wywieziono ofiary sierpniowego pogromu.

Po nieustających łapankach i aresztowaniach władze okupacyjne zamknęły w październiku 1942 r. resztki Żydów w t.zw. dzielnicy żydowskiej, mieszczącej się w północnej części miasta. Przebywanie poza dzielnicą, bez uzasadnionego powodu, groziło karą śmierci. Skoncentrowanie Żydów na zamkniętym obszarze ułatwiało Niemcom przeprowadzanie dalszych planów eksterminacyjnych, co było metodą stosowaną we wszystkich miastach na terenach okupowanych. Do takich gett zwożono Żydów z okolicznych miasteczek i wsi by je w swoim czasie łatwiej likwidować.

Warunki mieszkaniowe były okropne - ciasnota, po kilka osób w jednej izbie, pogarszające się warunki sanitarne i głód sprzyjały szerzeniu się chorób. Jeszcze przed przeniesieniem się do dzielnicy zanotowano przypadki tyfusu plamistego. Jednocześnie zmuszano ludzi do ciężkiej pracy, pracy, która według Niemców miała uratować nam życie. Tłumaczyliśmy sobie, okłamując się nawzajem, że jest wojna, więc potrzebne są ręce do roboty, a zatem dobrze pracować i wytrzymać. Niemcy a także i Judenrat mi ten podtrzymywali.

Praca ponad siły, głód i choroby, przy braku lekarstw, oraz ustawiczne łapanki pod pozorem likwidacji "elementów pasożytniczych", głównie kobiet i dzieci, szerzyły spustoszenie. Niemcy przestali się już krepować. Rozstrzeliwano ludzi na miejscu, obok rzeźni, gdzie w masowych grobach zginęło około 2000 ludzi.

Wreszcie liczba Żydów spadła do tego stopnia, że zlikwidowano dzielnicę i zamknięto tych co ocalili w obozie pracy przymusowej (Zwangsarbeitslager), nazywanego przez nas "koszary" na Mraznicy. Był to zespół budynków mieszkalnych i gospodarczych, należących do byłej firmy naftowej Silwaplana. Obóz podlegał Gestapo w Drohobyczu, skąd okresowo przyjeżdżał na inspekcje bezpośredni "opiekun" obozu, Hildebrand, (sadzony po wojnie i skazany na dożywotnie więzienie). Również i lokalne władze policyjne, Schutzpolizei, często kontrolowały obóz, głównie przez starszego podoficera o nazwisku Nemez, który jednocześnie pełnił funkcję komendanta policji ukraińskiej. Mimo drogich prezentów Niemcy zawsze stwierdzali jakieś nieprawidłowości, co pociągało za sobą różnego rodzaju zastrzeżenia i często też likwidacje ludzi chorych, niezdolnych do pracy, określanych przez policję jako pasożytów. Z obozu wyprowadzano nas do różnych placówek pracy, a po powrocie na teren koszar nie wolno było opuszczać.

Pracowaliśmy z bratem w biurach przemysłu naftowego, Beskiden, w księgowości materiałowej. Warunki pracy były znośne. Pracowała tam większa grupa inteligencji żydowskiej. Ojciec pracował w przedsiębiorstwie prywatnym, wykonującym roboty na zlecenie Beskiden. Wynagrodzenia za wykonywaną pracę nie otrzymywaliśmy, odwrotnie, dochodziło do tego, że Żydzi płacili prywatnym przedsiębiorcom aby tylko otrzymać zaświadczenie pracy. Mieszkał w piątce w jednym pokoju, ciasno, ale stosunkowo czysto i ciepło. Na piersiach nosiliśmy specjalne odznaki z dużą literą R (Ruestungsindustrie), co chroniło nas przed łapankami i stwarzało fałszywe uczucie bezpieczeństwa. Przydzielanie litery R, pomyślanej wyłącznie dla wysoko kwalifikowanych specjalistów połączone było często z nieczystymi machinacjami i łapówkami dla opiniujących.

Była wiosna 1943 r. Losy wojny na froncie wschodnim zaczęły się powoli zmieniać na niekorzyść Niemców. Mimo pozornego spokoju doszliśmy do wniosku, po nieustających dyskusjach, że nie wolno czekać bezczynnie, że Niemcy nie pozwolą nam doczekać nadejścia wojsk rosyjskich i w odpowiedniej chwili zlikwidują cały obóz i wywieżą nas w nieznane lub zabiją na miejscu.

W tej sytuacji ludzie zaczęli zastanawiać się nad możliwościami ratowania się. Rozpatrywano następujące warianty; ukrycie się u zaufanych aryjczyków, wyjazd "w Polskę" na aryjskich papierach, zbudowanie kryjówki w podboryslawskich lasach lub w innym odpowiednim miejscu.

Ukrycie u aryjczyków odrzuciliśmy, nie mieliśmy bowiem ani tak zaufanych znajomych ani nie dysponowaliśmy koniecznymi w tym celu, znacznymi funduszami. Były też przypadki, kiedy po krótkim przechowywaniu zabierano Żydom pieniądze i wyrzucano ich na bruk. Należy przyznać, że przechowywanie Żydów było połączone z olbrzymim ryzykiem. Groziła kara śmierci zarówno przechowywanym jak i przechowującym. Przypadki takie miały miejsce. Wyjazd na aryjskich papierach był równoznaczny z pozostawieniem ojca na pewną śmierć. Nie mogliśmy na to pozwolić. Pozostawała kryjówka. Ta alternatywa zyskiwała coraz więcej zwolenników. Największą przeszkodę stanowiła miejscowa ludność, w większości Ukraińcy z Borysławia i okolic, które ewentualnie wchodziły w rachubę jako miejsca nadające się na kryjówkę. Byli oni niezwykle wrogo usposobieni wobec Żydów i w znakomitym stopniu przyczynili się do likwidacji Żydów, sami ich mordując czy też wskazując miejsca ukrywania się takich. Dodac należy, że służba leśna, leśniczy i gajowi, to byli głównie Ukraińcy.

Wydawało nam się, że trzeba zdobyć broń by w ostateczności można było się bronić. Nie było to łatwe. Należy pamiętać, że w naszych okolicach nie było żadnej partyzantki. Broń mogła pochodzić ze starych, ukrytych zapasów, względnie od Niemców. Po pewnych staraniach udało mi się kupić pistolet. Transakcja ta pociągnęła za sobą śmierć 4 osób i o mało nie stała się powodem śmierci mojej i mojego brata. W wyniku ostrożnych, jak mi się zdawało poszukiwań, natknąłem się na Szmilka Fichmana, którego brata dobrze znałem, co wzbudzało zaufanie. Za określoną sumę dostarczył mi pistolet, nie podając nazwiska sprzedającego, oraz zapewnił mnie, że sprzedający nie znał mojego nazwiska. Tylko on jeden wiedział kto sprzedawał i kto kupował. Transakcja wydawała mi się względnie bezpieczna.

Upłynął pewien okres, w czasie którego czyniliśmy dalsze starania w celu kupna broni. Pewnego dnia siedząc w biurze zauważyłem wchodzącego na dziedziniec Nemeza z grupą ukraińskich policjantów, którzy obstawiali wyjścia z budynku. Tknięty przeciuciem dałem znak bratu, że musimy natychmiast opuścić budynek, przez przygotowane od dawna, na wszelką ewentualność, wyjście dotąd nieużywane. Wyszedłem niezauważony, sadząc że brat idzie za mną. On jednak, chcąc uporządkować biurko, w którym miał różne fałszywe dokumenty, nie zdążył. Nemez wpadł do biura, wrzeszcząc "die Horde hat sich bewaffnet" (horda się uzbroiła), zapytał o mnie. Zorientowawszy się że mnie nie ma aresztował brata. Ja chciałem jak najszybciej dostać się do koszar, gdzie przechowywałem pistolet, spodziewając się, jak się okazało słusznie, rewizji. Gdy wychodziłem z budynku zauważyłem, że na

teren obozu wkracza policja. Przeskoczywszy ogrodzenie przedostałem się na zewnątrz obozu i mimo, że było już po godzinach urzędowania, udałem się do budynku biurowego, gdzie na strychu, wśród stosów makulatury ukryłem pistolet. Pozbywszy się broni poszedłem na posterunek policji i zgłosiłem się do Nemeza. Był wprost zaskoczony gdy mu powiedziałem, że to ja kupiłem broni a mój brat nic o tym nie wie i nie ma nic z tym wspólnego. Był to krok bardzo lekkomyślny ponieważ mógł zatrzymać nas obojgu. Ale nie miałem wiele czasu do zastanawiania się. Oświadczyłem, że tylko ja ponoszę odpowiedzialność za to co się stało i sam się zgłaszam na policję by ponieść konsekwencje. Jestem gotów oddać mu broni pod warunkiem że zwolni brata. Nie miałem dużej nadziei, że moja propozycja ma szansę powodzenia. Widocznie moja odwaga, zakrawająca na bezczelność i stosunkowo płynny język niemiecki zrobiły na nim wrażenie. Zapytał gdzie jest pistolet i wraz z dwoma ukraińskimi policjantami udaliśmy się do biura. Był wieczór, nie kazał mnie skuc, nie bał się że ucieknę. Miał brata w areszcie. Wszedł ze mną na strych zostawiając policjantów na dole. Wydobyciwszy pistolet przez chwilę się zawahałem. Broni była nabita, byliśmy sam na sam, mogłem bez trudu go zastrzelić. Ale jednocześnie uświadomiłem sobie konsekwencje takiego czynu - śmierć wielu niewinnych ludzi, łącznie z moim ojcem i bratem. Wrezyłem mu pistolet i wróciliśmy do pomieszczeń Ordnungsdienstu, leżących w pobliżu posterunku policji.

Tu dowiedziałem się jak doszło do aresztowania. Poza mną zatrzymani byli dwaj bracia Gruen, żona starszego Gruena, Fichman oraz mój brat. Okazało się że pistolet sprzedał Gruen młodszy, który miał romans z żoną brata. Gdy ten się dowiedział, że uwodzący mu żonę młodszy brat sprzedał broni, doniósł o tym policji. Brat wydawał brata na pewną śmierć. Ale się pomylił. Poza mną i moim bratem zgineli wszyscy. Fichman po krótkim przesłuchaniu podał moje nazwisko.

Nemez, zebrawszy nas w jednym pokoju wygłosił przemówienie, którego pobudek nie umiem zrozumieć do dnia dzisiejszego. Widocznie gdzieś w głębi zachował jednak ślady porządnego człowieka. Niziej cytuję ważniejsze fragmenty przemówienia, które utkwiły głęboko w mojej pamięci.

"Du bist eine Hure" (ty jesteś kurwa), zaczął od Gruenowej, "przez ciebie całe to nieszczęście" i po kilku jeszcze pogardliwych określeniach zakończył, "du bekommst die erste Kugel" (otrzymasz pierwszą kulę). Do starszego Gruena, "Du bist ein gemeiner Verräter (ty jesteś podły zdrajca), zdradziłeś własnego brata. Jako policjant jestem ci wdzięczny, ale jako człowiek potępiam to, dostaniesz drugą kulę". "Ty sprzedajesz broni", zwrócił się do młodszego Gruena i poniesiesz za to śmierć. Do Fichmana powiedział, "jesteś miękki przestępca, ledwie cie dotknęli i od razu wydałeś tego, któremu sprzedajesz broni, czeka cie kara śmierci". Zwróciwszy się do mnie powiedział. "Od 25 lat jestem policjantem i nie miałem dotąd przypadku by przestępca sam się zgłosił na policję w sprawie, w której grozi kara śmierci. Jesteś inteligentny przestępca, kupiłeś broni i musisz ponieść karę". "Aber dein Bruder geht frei" (ale twój brat jest wolny). Do brata krzyknął "los verschwind" (znikaj szybko).

Placzac brat poprosil go by mnie tez zwolnil. "Uwazaj, bo moze sie rozmyslec, znikaj". Gdy tylko brat wyszedl kazal nalozyc mi kajdanki. Potem nas pozostalych zaprowadzono na policje i umieszczono w celach. Po kilku dniach odeslano cala piateke, braci Gruen, Gruenowa, Fichmana i mnie do Gestapo w Drohobyczu. Tu mieli od nas wydostac jaka organizacja sie kryje za tym wszystkim.

Po wstepnym przesluchaniu umieszczono nas w jednej celi (poza Gruenowa), w wiezieniu przy sadzie na ul. Stryjskiej, skad prowadzono nas na kolejne przesluchania do Gestapo. Mnie przesluchiwal oficer Gestapo, Hagen. O metodach stosowanych przez Gestapo przy przesluchaniach napisano dostatecznie duzo i nie bede tego powtarzal. Wystarczy powiedziec, ze po kilku takich seansach nie moglem poruszac szczekami i mimo, ze bylem wyglodzony nie moglem jesc. Chcial koniecznie sie dowiedziec czy i kto jeszcze mial jakis zwiazek z kupnem broni. Niemcy podejrzewali, ze byla to próba zorganizowania zbrojnego oporu. Powiedzialem, ze mialem zamiar przekroczyc granice na Węgry, a bron byla mi potrzebna aby móc sie broniec przy ewentualnym spotkaniu z Ukraincami lub z policja. Widocznie uwierzyl bo wiecej mnie nie przesluchiwal. Jednoczesnie brat czynil starania zwolnienia mnie poprzez ustosunkowanych członków drohobyckiego Judenratu.

W celi wieziennej bylo nas dziewieciu i wedlug sluzby wieziennej czekalismy na transport do Bronicy, wsi poddrohobyckiej, w której rozstrzeliwano masowo Zydów. Ale brakowalo do kompletu, bo z reguly wywozono 15 - typowe dla "porzadku" niemieckiego.

Na moje szczescie, a na nieszczescie Zydów z getta drohobyckiego wybuchla kolejna akcja. Setki ludzi pedzono na piechote na dworzec główny, a nasza dziewiatke, jako niebezpiecznych przestepców, zaladowano na samochód i również tam zawieziono i dolaczono do zebranego tlumu. Wśród wrzasku SS-owców, placzu dzieci i kobiet ladowano ludzi do wagonów towarowych, po okolo 100 na wagon. Tych, którzy niedostatecznie szybko zdolali dostac sie do wagonu bito palkami lub kolbami karabinów i szczuto psami. Celowali w tym ukrajscy policjanci. Wiele osób zostalo pogryzionych przez psy.

W pociagu przestalem byc przestepca, nagle stalem sie "zwyklym" Zydem, wysylanym na smierc nie za posiadanie broni, ale za przynaleznosc do narodu, który zgodnie z planami niemieckimi mial byc wytepiony (ausgerottet).

W wagonie bylo tak ciasno, ze nie bylo mowy aby sie polozyc czy nawet usiasc. Jedyny kontakt ze swiatem zewnetrznym stanowily dwa male, okratowane drutem kolczastym otwory, mieszczace sie w górnej czesci bocznych scian. Potrzeby fizjologiczne zalatwiano przez dwa otwory mieszczace sie w katach wagonu. Wskutek trudnosci poruszania sie przy istniejacej ciasnocie ludzie z czasem zaczeli zalatwiac sie tam gdzie stali. Miedzy wagonami, w budkach przeznaczonych dla pesonelu kolejowego przy przetaczaniu wagonów, siedzieli ukrajscy policjanci, którzy od czasu do

czasu, bez powodu strzelali do wnętrza wagonu. Kilka osób w ten sposób odniosło rany. Mialo to rzekomo odstraszyć od prób ucieczki. Pociąg poruszał się tylko przy świetle dziennym. W nocy, na postojach policjanci chodzili wzdłuż wagonów, obsypując nas wyzwiskami i przeciągając ręką w poprzek gardła, dawali nam do zrozumienia co nas czeka. Pytali o kosztowności, zegarki, tłumaczac, że i tak już się nam nie przydadzą.

Po pierwszym dniu zorientowałem się, że jedziemy w kierunku Lwowa. Dobrze znałem tę trasę, która często jeździłem do domu ze Lwowa, gdzie studiowałem na Politechnice. W wagonie panował okropny zaduch wskutek ciasnoty i niedostatecznego dopływu powietrza. Ludzie byli spoceni, często brudni, a przede wszystkim głodni. W czasie 3-dniowej podróży z Drohobycza do Lwowa (odległość 100 km) nie dostaliśmy ani jedzenia ani wody. Z różnych stron słychać było płacz dzieci i pojękiwanie kobiet i ludzi chorych. W atmosferze kompletnej rezygnacji trudno było nawet myśleć o jakiegokolwiek próbie ucieczki. A jednak kilku moich rówieśników zdecydowało się spróbować. Ryzyko było zadne i tak jechaliśmy na śmierć. Ale też i szanse uratowania się przez wyskoczenie z pedzającego pociągu były minimalne, ale były. Po wielogodzinnej pracy przecieliliśmy kieszonkowym szczyrykiem deskę w podłodze wagonu i wyrwalismy dwie deski. Było to bezpieczniejsze niż wylamanie desek w bocznej ścianie, co byłoby natychmiast zauważone przez eskortujących policjantów.

Nagle dookoła nas zrobiło się luzno, ludzie cofnęli się, obawiając się represji za współudział w wylamaniu desek. Ze strachem patrzyliśmy przez szczeliny na uciekające podkłady torowiska. Nikt nie miał odwagi być pierwszy. Należało wypełznąć przez otwór i trzymając się rękami kantów szczeliny, wolno opuścić się na torowisko. Pierwszy poszedł Milek, znany mi z gimnazjum, do którego uczeszczałem. Za nim jeszcze jeden. Usłyszeliśmy strzały. Nie wiedzieliśmy czy strzelali do żywych czy do zabitych wskutek upadku. Staliśmy bez ruchu przy otworze i po chwili bez słowa zakryliśmy szczeliny deskami. Zrozumieliśmy, że w ten sposób życia nie uratujemy.

Po 3 dobach pociąg wjechał na dworzec główny we Lwowie i po krótkim postoju ruszył dalej. Pomyślałem, że woza nas do jakiegoś obozu zagłady. Najbliższy był Belzec. Ale wkrótce zauważyłem, że mijamy stację kolejową Lwów-Kleparów i ze zgrzytu zrozumiałem, że pociąg zjechał na jakąś bocznice i po chwili się zatrzymał. Słychać było kroki wzdłuż pociągu, wydawanie komend i szczekanie psów. Nagle odsunięto zamknięcie wagonu i przy krzyku Niemców "los los raus", wypędzono nas z wagonów, ustawiono w kolumny i rozkazano maszerować. Po chwili zobaczyłem baraki i krecących się między nimi ludzi oraz słynny napis nad bramą, do której zbliżaliśmy się "Arbeit macht frei" (praca wyzwala). Byliśmy w słynnym SS-owskim obozie pracy przymusowej "Janowska", (od nazwy ulicy przy której się mieścił). Był to obóz o zaostrzonym rygorze i podlegał kontroli SS-Polizeifuehrer Distrikt Galizien (komendant SS-policji okręgu Galicja). Zaprowadzono nas na leżacy

obok obozu plac, na którym znajdował się tłum ludzi i kazano usiąść na ziemi, podobnie jak ci którzy już tam byli. Ostrzeżono nas, że każdy niedozwolony ruch będzie traktowany jako próba ucieczki i grozi zastrzeleniem. Ciągłe napływały świeże kolumny ludzi. Zrozumiałem, że akcja objęła więcej miast okregu lwowskiego (Bezirk Lemberg). Dookoła krecili się wartownicy, głównie Ukraińcy i Lotysze i obrzucali nas wyzwiskami i drwinami. Od czasu do czasu, zabawiając się, strzelali nad naszymi głowami. Zdarzało się, że któryś "chybil" i trafił siedzących na ziemi Żydów. Rozległ się wówczas wśród nich ogólny śmiech. W tych warunkach przesiedzielismy resztę dnia i całą noc. Według mojej oceny zebranych było około kilka tysięcy ludzi. Niektórzy usnuli, inni pojeikiwali, a matki usiłowały tłumić płacz dzieci. Głośno płakać oraz rozmawiać ze sobą zabroniono. Obok mnie siedziało małżeństwo ze Stryja. W pewnej chwili on przysunął się do mnie, wyciągnął zawiniatko i chciał mi je wręczyć, mówiąc "to są złote monety, proszę to wziąć, pan z pewnością przeżyje i to się panu przyda". Podziękowałem, odmawiając i zapytałem czy ma coś do jedzenia. Ich zabrano z domu więc mogli coś ze sobą zabrać. Wyciągnął z kieszeni garść pokruszonego chleba i mi oddał. Mnie zabrano z więzienia więc nic nie miałem i po 3 dobach byłem porządnie wyголоdzony. Zjadłem to natychmiast, uważając by wartownicy tego nie zobaczyli. Zauważyłem też jak rozwinał paczuszkę, której nie chciałem przyjąć, wyciągał monety i wciskał je w piaszczysty grunt, na którym siedzieliśmy.

Rano zjawił się jakiś starszy ranga SS-owiec w towarzystwie kilku wartowników i powiedział, że potrzebuje fachowców do pracy w obozie, m. i. stolarzy z co najmniej 10-letnią praktyką. Uniosło się kilkanaście rąk, w tym też i moja. Wskazał pejcem na mnie. Podeszedłem i powiedziałem, że jestem stolarzem meblowym, 8 lat w zawodzie. Ryzykowałem podwójnie, ponieważ u wszystkich sprawdzał dokumenty, a moje zatrzymano w więzieniu, a poza tym byłem za młody by mieć 10-letnią praktykę, czego żądał. Ale on mnie tylko kopnął i kazał dołączyć do grupy poprzednio wybranych. Wybrał jeszcze jednego, łącznie 62 osoby i kazał odprowadzić nas do obozu. Resztę pognano do stojącego na bocznicę pociągu i załadowano do wagonów. Można łatwo sobie wyobrazić jaki ich spotkał los.

W ten sposób, dzięki kłamstwu, uniknąłem tym razem śmierci i dostałem się do obozu, gdzie można było odsunąć koniec przynajmniej na pewien czas. W obozie całą grupę "specjalistów" zamknięto w pomieszczeniu obok biura, do którego prowadzono nas pojedynczo i rejestrowano. Pisarzowi, (również więzien), podałem nie moje nazwisko i miejsce pochodzenia z tą myślą, że o ile uda mi się uciec to nie mnie będzie szukali. Na zadanie dokumentów powiedziałem, że ukraiński policjant mi je zabrał i zniszczył. Zdziwił się ale uwierzył. Przeobraziłem się nagle w zwykłego Żyda - więźnia obozu, wyłącznie za przynależność narodową. O tym, że byłem aresztowany za posiadanie broni, za co groziła kara śmierci, nikt nie wiedział. Przy rejestracji każdy otrzymał dwie złote łaty, które należało przyszyć po lewej stronie na piersiach i na plecach. Potem zaprowadzono nas do

50
pomieszczenia gdzie miescila sie fryzjerna, ustawiono nas w dwuszeregu i SS-owiec wyglosil przemówienie, z którego dowiedzielismy sie gdzie sie znajdujemy i jakie obowiazuja przepisy i obowiazki. Za uchylanie sie od pracy i inne drobne wykroczenia grozily surowe kary, a za próbe ucieczki kara smierci. Nastepnie kazal oddac ewentualnie posiadane pieniadze, zegarki, pierścionki lub inne kosztownosci. Policjanci zydzowscy podchodzili do kazdego, ostrzegajac by niczego nie zatrzymac, bo bedzie rewizja i jezeli u kogos cos znajda to bedzie zastrzelony. Wszyscy mieli cos do oddania i dlatego sie zdziwili kiedy oswiadczyłem, ze niczego nie mam. Nie mogłem im powiedziec, ze mnie wzięto z wiezienia, gdzie mi wszystko zabrano. Nie uwierzyli i przy rewizji oderwali mi obcas z buta. U jednego znaleziono 5 dolarów i SS-owiec natychmiast go zastrzelil. U innego znaleziono ampulke cjankali, trucizne, która wielu Zydów nosilo by popelnic samobójstwo w "ostatecznej chwili". Niemiec, domyslajac sie prawdopodobnie o co chodzi, kazal mu polknac ampulke, grozac pistoletem. Uratowal go fryzjer (nie wiadomo na jak dlugo), odwracajac uwage SS-owca tak, ze nieczczesny Zyd zdolal wypłuc ampulke. Nie starczylo mu odwagi by skorzystac z trucizny, która miala mu zaoszczedzic ewentualnych meczarni, a po to przeciez nosil ja ze soba. Nastepnie wszystkich nas ostrzyzono i przydzielono do poszczególnych baraków. Pod koniec dnia otrzymalem pierwszy od 3 dni posilek - kromke czarnego chleba i czarna kawe.

W drodze do baraku zauwazylem siedzaca na ziemi kobieta z malym dzieckiem w ramionach. Skad sie tam wziela nie wiadomo. Podeszedl do niej SS-owiec i cos mówil, a gdy ta nie reagowala, zastrzelil ja i dziecko na miejscu, a pracujacym obok wiezniom rozkazal sprzatnac zwloki.

W obozie na Janowskiej wiezniów nie przebierano w specjalne ubrania, jak w innych obozach. Uwazali, ze sie nie oplaca, bo i tak nie mieli zyc dlugo. Byłem stosunkowo dobrze ubrany i natychmiast kapowcy zaproponowali mi zamiane za lepsze miejsce w baraku, chleb lub papierosy. Odmówilem, nie zdajac sobie sprawy, ze sie narazilem. Spalismy na wielopietrowych pryczach, jeden tuz przy drugim, bardzo ciasno. Na noc barak zamykano i nie wolno go bylo opuszczac. Ciasnota, brudne i zapocone ubrania, w których ludzie pracowali i spali, warunki sanitarne i higiena osobista sprawialy, ze prawie nie bylo czym oddychac. Niektórzy jeczeli z przepracowania lub chorób, inni czesto krzyczeli wskutek koszmarnych snów. Trudno aby w tych wrunkach sen byl odpoczynkiem po dniu ciezkiej, czesto ponad sile, pracy. Przy bardzo zlym odzywianiu i ciezkiej pracy ludzie opadali z sil, gwałtownie chudli i chorowali, a ustawiczna grozba kar lub rozstrzelania wprawiala wiekszosc w zupełna apatie. Gdy w drugim dniu pobytu zapytałem pracujacego obok wieznia czy sa jakies mozliwosci ucieczki, ten obejrzał sie przerazony i odpowiedzial po chwili "przeciez pana powiesz". Zupełnie nie wierzył w taka mozliwosc. Miał w zasadzie racje. Ucieczka z obozu byla praktycznie biorac niemozliwa. Szanse ucieczki mieli tylko wiezniowie, którzy wychodzili grupowo do pracy poza obozem..

Teren obozu był otoczony dwoma ogrodzeniami z drutu kolczastego; zewnętrzne, które otaczało cały teren, oraz wewnętrzne, zamykające przestrzeń t.zw. obozu wewnętrznego, w którym mieszcili się baraki więźniów oraz niektóre budynki gospodarcze. Kierownictwo oraz załoga mieszcili się w budynkach leżących między ogrodzeniami, w przedniej części terenu obozowego. Samowolne przechodzenie przez wewnętrzne bramy z jednego terenu na drugi było zakazane.

Rygor w obozie był niezwykle ostry. Budzono nas bardzo wcześnie, a po myciu i osobistej toalecie ustawiano nas w kolejce po śniadanie, złożone z kromki czarnego chleba, czasem z marmoladą i czarnej kawy. Następnie brygadziści ustawiali nas w brygady według miejsca pracy, piatkami, do apelu. Apel odbierał ówczesny komendant obozu Willhaus w towarzystwie więźnia, Żyda, o nazwisku Rysiek Axel, który ew. tłumaczył rozkazy. Na rozkaz "Muetzen ab", zdejmowaliśmy czapki i klanialismy się Niemcom. Często, gdy mu się coś nie podobało padała komenda "nieder, auf" (padnij, powstan). Zdarzało się to prawie zawsze gdy padał deszcz i ziemia była mokra. A jednocześnie trzeba było wyglądać schludnie i czysto. Brygadziści meldowali stan odcenych, a wzdłuż kolumn przechadzali się SS-owcy, kontrolując wygląd więźniów. Niestarannie ubranych, brudnych i wychudzonych, wyciągali z szeregów i po lustracji odprowadzali "za druty" i rozstrzeliwali. Po kilku dniach zauważyłem, że niezależnie od tego w którym stanalem szeregu, zawsze zostałem wymanewrowany do pierwszego, t.z. najbardziej narażonego na niebezpieczeństwo. Szybko zrozumiałem o co chodzi. Byłem starannie ubrany i dobrze się prezentowałem fizycznie. Pewnego dnia SS-owiec wyciągnął z kolumny bardzo wynędzniałego więźnia i kazał mu iść w kierunku ogrodzenia, wiadomo w jakim celu. Więzień przeszedł kilka kroków, odwrócił się i napluł mu w twarz. SS-owiec natychmiast go zastrzelił. Na nas padł strach przed ewentualnymi konsekwencjami, ale Niemiec widocznie tak był zaskoczony tym co się stało, że szybko się oddalił. Był to jedyny akt oporu, jaki widziałem w czasie pobytu w obozie.

Więźniowie byli podzieleni na dwie grupy. Niektórzy byli przydzieleni do brygad wychodzących z terenu obozu do różnych placówek pracy w mieście. Byli oni w pewnym stopniu uprzywilejowani, ponieważ mogli, co prawda pod groźbą kary śmierci, zamienić coś na jedzenie a nawet czasem dostać coś od pracujących na miejscu Polaków. A najważniejsze, że mogła się nadarzyć szansa ucieczki. Dlatego też wszyscy starali się dostać do takich brygad.

Dokładnie przeliczane brygady wychodziły przez bramy przy dźwiękach orkiestry, złożonej również z więźniów. Przy mijaniu warty przy bramie, prowadzący brygadę SS-owiec meldował stan i miejsce pracy. Przy powrocie do obozu często stan liczbowy był mniejszy o zastrzelonych w czasie pracy lub ew. uciekinierów. Wówczas meldunek przy bramie brzmiał, np. "obecnych 195, 5 Figuren gestorben, natuerlicher Tod" (5 figur umarło, śmierć naturalna). Byliśmy figurami, nie ludźmi.

W samym obozie, starsi stazem wiezniowie pracowali w kuchni, pralni i innych placówkach gospodarczych lub administracyjnych. Swiezo przybyli, bez okreslonego przydzialu, wypelniali prace porzadkowe, czesto bardzo ciezkie roboty bezcelowe, jak na przyklad przewozenie zaladowanych piaskiem taczek z jednego konca obozu na drugi, po piaszczystym terenie, gdzie kolo grzezlo po os. Nadzorujacy SS-owcy, krzyczac "los los Laufschrift" (szybko biegiem), uderzali kogo popadnie pejczem. Do tego rodzaju pracy rowniez i ja bylem przydzielony. Moje "wysokie kwalifikacje stolarskie", dzieki którym zostalem wyselekcjonowany okazaly sie zbedne.

Stosunkowo szybko zrozumialem, ze bierny pobyt w obozie prowadzi do katastrofy. Codziennie rozstrzeliwano dziesiatki ludzi za różne, nawet blahe przekroczenia. Czesto sprowadzano do obozu calymi grupami Zydów z istniejacego jeszcze getta lwowskiego (przed lipcem 1943), ludzi rozpoznanych na aryjskich papierach lub wykrytych w różnych kryjówkach. Takich rozstrzeliwano na naszych oczach, demonstrujac nam czym grozi nieposluszenstwo wzglednie próba ratowania sie w taki czy inny sposob. Pewnego dnia sprowadzono z "aryjskiej" strony kilka mlodych dziewczat, rozebrano je do naga i trzymano w ten sposob przez kilka godzin. SS-owcy obrzucali je wyzwiskami, opluwali i bili pejczami, a nas zmuszano do przygladania sie. Gdy im sie zabawa znudzila wszystkie rozstrzelano i kazano nam sprzatnac zwloki.

Wydarzenie to odzylo z cala ostroscia w mojej pamieci, kiedy po latach stanalem oko w oko z jednym z morderców dziewczyn, bylam SS-owcem o nazwisku Friedrich Wilhelm Heinen, nazywanego przez nas King-Kong, który wyróznial sie szczególnym okrucienstwem. W 1977 r. zostal on oskarzony przez prokurature w Saarbrucken o zbrodnie popelnione w obozie na Janowskiej. Na toczacy sie tam proces zostalem powolany w charakterze swiadka. Jakze sie różnil od butnej postaci w czapce z trupia czaszka i prawie stale z rewolwerem w reku, jakiego pamietalem z 1943 r. Przytlumionym glosem tłumaczyl sie, ze robil wszystko by uniknac wyslania na front wschodni, ale dla wiezniów mial dobry stosunek i nie pamietal by kogos zastrzelil. Wobec zeznan zlozonych przez swiadków, bylych wiezniów, którzy mu przypominali jak m.i. wybieral ludzi z kolumn lub z miejsc pracy, prowadzil ich za kuchnie i tam ich zabijal, nie mial zadnej odpowiedzi. Po dluzszym procesie zostal skazany.

Wartownicy, zarówno Niemcy jak i Ukraińcy i Lotysze, szukali zawsze okazji by nas uderzyc lub ukarac w inny sposob, a niektórzy niezwykle brutalnie sie znecali nad wiezniami. Celowali w tym Lotysze, których nazywalismy "askari". Szczególna panike wzbudzal rowniez jednoreki SS-owiec, który nie chowal wcale rewolweru i strzelal do wiezniów bez powodu i ostrzezenia.

Pewnego dnia, w czerwcu 1943 r. gdy stalismy zgrupowni w kolumnach i kiedy niektóre brygady juz maszerowaly w kierunku bramy, by udac sie do placówek pracy, nagle zajechalo kilka samochodów osobowych i brame natychmiast zamknieto. Z zachowania sie niektórych SS-owców

zrozumieliśmy, że ktoś ważny przyjechał. Dowiedzieliśmy się potem, że był to SS-Gruppenführer Katzmann (general SS), ze switą. Po pewnym czasie brama ponownie otwarto, orkiestra znów grała i kolumny zaczęły wychodzić. Zauważyliśmy, że po przejściu przez bramę, brygady nie poszły w kierunku miasta, jak zwykle. Milczaco spoglądaliśmy na siebie, czując że coś nienormalnego się dzieje. Więźniowie, którzy przebywali w obozie dłużej zrozumieli o co chodzi. Szeptem opowiadali, że więźniów poprowadzono na tereny leżące na tyłach obozu, do t. zw. doliny śmierci, gdzie już przedtem wielokrotnie miały miejsce masowe rozstrzeliwania więźniów. W ten sposób okresowo zmniejszano stan liczbowy obozu. Gdy zbliżała się kolej do wymarszu dla mojej brygady, która normalnie nie wychodziła poza teren obozu, obejrzałem się do tyłu. Odległość do najbliższego baraku, co prawda nie tego, w którym ja mieszkalem, była nieduża i wszyscy byli zaabsorbowani tym co się działo. Samowolne opuszczanie kolumny nie było dozwolone, ale zaryzykowałem. Szybko przebiegłem do baraku i ukryłem się pod siennikiem na najbliższej pryczy. Widocznie nikt z wartowników ani brygadzystów mnie nie zauważył. Nie wiem jak długo w ten sposób przeleżałem. Barak był zupełnie pusty. Po pewnym czasie usłyszałem normalny gwar obozowy i do baraku weszło kilka osób, dzieląc się uwagami na temat tego co się stało. Zrozumiałem, że niebezpieczeństwo minęło i udając, że robię porządek na pryczy, wyszedłem z ukrycia. Zdziwieni zwrócili mi uwagę, że nie wolno przebywać w baraku w którym się nie mieszka, ale z wyglądu domyslili się, że jestem nowicjuszem, ostrzegli że to niebezpieczne i kazali mi pójść do mojego baraku. Na dziedzincu brygadziści formowali nowe brygady. Po tej, do której poprzednio należałem nie było śladu. Na moje pytanie czy moja brygada wyszła do pracy w mieście, zapytany brygadzysta wskazał palcem na niebo. Wiedział co się stało. Przydzielił mnie do pracy w innej grupie i nakazał nie zadawać pytań. W tym dniu nastrój w obozie był dużo gorszy niż zwykle. Ludzie ze sobą nie rozmawiali, każdy udawał że jest zaabsorbowany tym co robił. Liczba SS-owców i innych wartowników, Ukraińców i Łotyszy, krecących się po obozie znacznie zmalała, a ci którzy pozostali mniej się nami zajmowali. Przez cały dzień dochodziły odgłosy salw karabinowych - strzelano w dolinie śmierci.

Gdy nas zamknęto na noc w baraku, doświadczeni więźniowie dzielili się informacjami o tym co się stało. Dowiedziałem się, że w tym dniu żadna brygada nie wyszła do pracy w mieście, a te które wyszły, 8 a według niektórych 10, zaprowadzono do doliny śmierci i rozstrzelano. W jednej z pierwszych rozpoznałem dwoje z Borysławia, Buksbeina, trzymającego za rękę kilkunastoletniego syna. Potem już ich więcej w obozie nie spotkałem.

Następny dzień zaczął się jak zwykle, Nowoformowane brygady wychodziły przez bramę do pracy w mieście przy dźwiękach orkiestry, a mnie, mimo starań, nie udało się dostać do żadnej z nich. Zorientowałem się, że aby się dostać do takiej brygady, trzeba było mieć znajomości wśród żydowskich kapoów, względnie się wkupić, za papierosy, odzież i t.p.

Z uformowanej brygady do pracy w obozie, wśród której ja się znalazłem, SS-owiec, którego przedtem nie widziałem, wybrał 20 młodych i silnych więźniów, w tym również i mnie i wyprowadził nas poza brame. Już miałem nadzieję, że idziemy do miasta, ale skreśliśmy w prawo i po niedługim marszu zobaczyłem co to była dolina śmierci.

Na tyłach obozu teren był pofalowany, o podłożu głównie piaszczystym. Zatrzymano nas nad krawędzią dość głębokiego jaru, każdy dostał łopate i po krótkim wyjaśnieniu co mamy robić, kazano nam zejść w dół. To co zobaczyliśmy przekraczało najgorsze przeczucia. Na powierzchni o długości około 50 m. i szerokości 6 - 8 m. spod cienkiej warstwy piasku wystawały ramiona, ręce, częściowo nogi, pomordowanych w poprzednim dniu więźniów. Reakcja więźniów była bardzo różna. Niektórzy usiedli, inni stali i błędnym wzrokiem patrzyli na ziemię. Nagle dwóch, młodych i dobrze zbudowanych więźniów rzuciło się na ziemię i bijąc rękami i nogami o ziemię, zaczęli przeraźliwie krzyczeć. Stojący na górze uzbrojeni wartownicy, Ukraińcy i Łotysze, wyzywali nas i głośno się z nas nasmiewali. Był ciepły i słoneczny dzień. Niemiec, SS-owiec, który nas wybrał, zdjął koszulę, zatknął rewolwer za pasek od spodni i zszedł do nas. Tłumaczył nam, że musimy starannie przysypać zwłoki pomordowanych aby spokojnie spali, jak się wyraził. Leżącym na ziemi kazał wstać bo inaczej będzie musiał ich zastrzelić. Nam też kazał im to wytłumaczyć, a gdy ci w ogóle nie reagowali, ciągle krzycząc, zastrzelił ich. Wtedy stała się, w moim pojęciu, straszna rzecz. Jeden z zastrzelonych miał na sobie porządne buty z cholewami i najbliższy stojący więźniowie rzucili się do ściągania mu butów, wyrrywając je sobie nawzajem. Wzbudziło to salwę śmiechu wśród wartowników, którzy zaczęli strzelać nad naszymi głowami. Wydarzenie to miało makabryczną i niezrozumiałą dla normalnego człowieka wymowę, ponieważ więźniowie, pracujący przy grzebaniu ofiar masowych straceń, z reguły byli zabijani po skończonej robocie. Lepsze czy gorsze buty nie miały w tej sytuacji żadnego znaczenia. SS-owiec krecił się między nami przynaglając nas do pracy, ale w sposób raczej łagodny. Nikogo nie bił. Po nasypaniu warstwy piasku kazał nam wziąć się za ręce i maszerować wzdłuż jaru, tam i z powrotem, żeby ubić piasek. Musielismy przy tym śpiewać "es geht alles vorüber, es geht alles vorbei, nach jedem Dezember kommt wieder der Mai" (wszystko przechodzi, wszystko przemija, po każdym grudniu przychodzi znowu maj). Tłumaczył nam, że musimy starannie przysypać trupy aby mogli odpoczywać w spokoju. Chodził między nami, sprawdzał wynik naszej roboty, często nas chwalił, co zupełnie odbiegało od atmosfery w obozie. Nawet zarządził krótki odpoczynek.

Po kilku godzinach, około południa, Niemiec coraz częściej spoglądał na zegarek i wreszcie zaczął głośno kląć, ale nie na nas. Z rozmów z wartownika zrozumieliśmy, że minęła pora kiedy mieli nam przywieźć posiłek. Wynikało z tego, że nie mieliśmy wrócić na obiad do obozu. Wreszcie kazał nam przerwać pracę, ustawił nas dwójkami i zaprowadził do obozu. Zatrzymał nas tuż po wewnętrznej stronie bramy, zabronił wszelkich rozmów na temat naszej pracy i dał nam godzinę na

zjedzenie obiadu. Ostrzegł nas, że gdyby ktos się nie zgłosił po obiedzie w tym samym miejscu, to cała grupa zostanie rozstrzelana. W ten sposób upewnił się, że będziemy nawzajem się pilnowali by nikogo nie zabrakło. Na zbiórce po obiedzie okazało się że 2 brakowało. SS-owiec wpadł w szal. Zaczął nam wygrażać rewolwerem, wrzeszcząc, że i tak ich znajdzie i wszyscy poniesiemy odpowiednia karę.

Dowiedział się jak się nazywali, wziął kilku z nas i poszedł na poszukiwanie zbiegów. Pozostałym kazał usiąść na ziemi i czekać pod strażą wartowników. Po pewnym czasie, ale trwało to dość długo, przyprowadził uciekinierów. Kazał im położyć się na ziemi, okropnie ich bił i kopał nogami i w końcu ich zastrzelił. Tłumaczył nam, że postąpili podle, narazając życie całej grupy i że potraktował ich sprawiedliwie. Nam w nagrodę za to, że pomogliśmy ich znaleźć daruje życie. Mówił długo o dobrych i złych więźniach powoli się uspokajając. Wreszcie spojrzał na zegarek i po chwili namysłu kazał nam wrócić do swoich bloków. W następnym dniu zauważyłem go znowu wybierającego grupę ludzi do pracy, ale zupełnie nie tych samych co wczoraj. Czy grupa ta wróciła, nie wiem.

Dzięki temu, że okrzyczany porządek niemiecki nawalił i nie przyniesiono nam obiadu na czas oraz, że poszukiwanie zbiegów trwało dość długo, uniknałem prawdopodobnie śmierci, po raz któryś z rzędu.

Znowu pracowałem na terenie obozu, wykonując różne, bezsensowne moim zdaniem roboty, pod ciągłym nadzorem SS-owców, którzy krzykiem i wyzwiskami poganiali nas do szybszej pracy i tylko szukali okazji by kogoś uderzyć pejcem. Wachlarz kar za uchybienia był bardzo szeroki, od zbicia do najbardziej brutalnych tortur, kończących się zazwyczaj śmiercią. Najbardziej narazeni byli więźniowie słabi, wynędzniali, którzy nie mogli podoląć ciężkiej pracy. W języku obozowym nazywano ich muzułmanami. Za kradzież chleba, tak przynajmniej nam powiedziano, powieszono kiedyś więźnia za nogi i ręce na poziomym drzewku i gdy po dwóch dobach przestał dawać znaki życia kazono nam go zdjąć i pogrzebać. Przy każdej takiej okazji SS-owcy tłumaczyli nam, że przestępstwa muszą być karane sprawiedliwie.

Po pewnym czasie udało mi się dostać do brygady, pracującej w warsztatach kolejowych, t.zw. Ostbahn (kolej wschodnia), dzięki temu, że stan liczbowy brygady zmalał w wyniku rozstrzelania kilku więźniów. Brygadzysta, który zgodził się mnie przyjąć do swojej brygady, dokładnie mnie obejrzał i spytał co za to dostanie. Oddałem mu chusteczkę - nic innego nie miałem. Zasmiał się, ale "łapówkę" przyjął. Na drugi dzień, po sprawdzeniu stanu liczbowego, "moja" brygada wyszła z obozu przy dźwiękach grającej jak zwykle przy bramie, orkiestry. Było nas ponad 200 osób (Figuren), jak zameldował strażę, prowadzący nas SS-owiec. Maszerowaliśmy jezdnią piatkami, trzymając się nawzajem za ręce - sami pilnowaliśmy się by nikt nie próbował uciec. Wytłumaczono mi, że było to konieczne, ponieważ za udaną ucieczkę rozstrzelano co dziesiątego w brygadzie.

Praca w warsztatach była dość ciężka, ale miała przynajmniej jakiś sens. Pracujący fachowcy, Polacy lub Ukraińcy, traktowali nas na ogół neutralnie, a ze starszymi więźniami, których

znali, oraz z brygadzystami, uprawiali drobny handel zamienny. Pierwszy dzień, obok wykonywania zleconych mi obowiązków, poświęciłem na rozejrzenie się po dość rozległym terenie warsztatów. Postanowiłem uciec za wszelką cenę przy pierwszej okazji jaka się nadarzy. Byłem przekonany, że dłuższy pobyt w obozie złamie mnie nie tylko fizycznie, ale i psychicznie i nie będę zdolny do podjęcia takiej decyzji. Groziło to nieunikniona śmiercią. Mimo, że zdawałem sobie sprawę, że po skończonym dniu pracy czeka mnie powrót do obozu, czułem się jednak bardziej wolny. Mój przełożony, Polak, był ze mnie zadowolony. Wypytywał mnie o zawód, widząc, że tego rodzaju prace montażowe nie były mi obce. Nie podejrzewał, że byłem studentem politechniki, ale się dziwił, ponieważ Żydzi w opinii Polaków na ogół nie mieli nawyku do pracy mechanicznej. Po pracy zarządzono zbiórke i po przeliczeniu nas wróciliśmy do obozu. Nikogo nie brakowało.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Rozwazałem różne warianty ucieczki i byłem tak podniecony, że leżący obok zapytał czy nie jestem chory.

Rano jak zwykle, zbiórka, apel, wykrzykiwanie wartowników i wreszcie wyjście przez bramę, do warsztatów kolejowych. Po wykonaniu kilku poleceń mojego przełożonego, wziąłem na ramię podkład kolejowy, co świadczyło, że coś robie i szybko podszedłem do upatrzonego poprzedniego dnia miejsca, na którym leżała sterta kamieni przy ogrodzeniu. Był to wysoki, betonowy plot, nad którym rozpięte były 3 rzędy drutu kolczastego na łukowych pretach stalowych, zagiętych do wewnątrz - typowe w tych stronach ogrodzenie. Stanąłem na podkładzie ułożonym na kamieniach, podskoczyłem i chwyciłem jedną ręką pret. Nie zareagowałem gdy kolec drutu wbil się w palec i udało mi się to czego nigdy przedtem zrobić nie mogłem. Podciągnąłem się na jednej ręce i przeskoczyłem na drugą stronę, na ulicę ciągnącą się wzdłuż terenu warsztatów.

Poczułem się wolnym człowiekiem, mimo że zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego na każdym kroku człowiekowi nie posiadającemu żadnych dokumentów. Szybko zdarłem obie łaty i bojąc się rzucić je na ulicę, wepchnąłem je do wietrzacej się w oknie na parterze pościeli. Wyobrazałem sobie przerazenie właścicielki, gdy odkryła żółte, żydowskie łaty w swojej pościeli. Była ładna, słoneczna niedziela, ale ja musiałem mieć czapkę na głowie, ponieważ miałem ogoloną głowę, co mogło wzbudzić podejrzenia.

W tym czasie mieszkała we Lwowie na ul. Stryjskie 22, na "aryjskich papierach" moja kuzynka, Szanka Schaller (obecnie Szefer w Tel- Avivie). Postanowiłem udać się do niej. Był to bardzo odległy, drugi koniec miasta, ale znałem miasto bardzo dobrze i bez trudności mogłem tam dotrzeć. Niestety nie zastałem jej w domu. Powiedziano mi, że poszła do kościoła i powinna niedługo wrócić.

Spotkanie było dramatyczne. Kuzynka wiedziała, że mnie aresztowano i wywieziono z Borysławia. Była przekonana, jak zresztą pozostała moja rodzina, że mnie nigdy więcej nie zobaczy. Uważała, że wyglądam okropnie i nie powinienem pokazywać się ludziom na oczy. Osobiscie nie

zdawałem sobie z tego sprawy. Na tle więźniów na Janowskiej wyglądałem świetnie. Za wiedza swoich gospodarzy, państwa Podolczaków, ulokowała mnie w swoim pokoju, gdzie mogłem wypocząć i doprowadzić się do porządku.

Postanowiłem jednak wrócić do Borysławia, mimo że było to bardzo ryzykowne. Zarówno policja jak i władze w koszarach wiedziały za co mnie aresztowano. Nie mogłem jednak narazić kuzynki ani ludzi, którzy jej pomagali. Poza to wydawało mi się, że będąc w Borysławiu będę mógł pomóc w uratowaniu się ojca i brata, co też okazało się słusznym. Po kilku dniach, bez pożegnania się, opuściłem pokój kuzynki i udałem się w drogę do Borysławia. Na drogę zabrałem chleb i kuchenny nóż.

Początek ulicy Stryjskiej, gdzie mieszkał dom, w którym się ukrywałem, był dobrym punktem wypadowym. Tuż szedł transport samochodowy ze Lwowa do Borysławia przez Stryj i Drohobycz. Stromo biegnąca ulica zmuszała samochody do znacznego zmniejszania szybkości i istniała szansa, że ktoś jadący w tym kierunku zechce mnie zabrać. Tak się też stało. Na przyzwyczajający znak kierowcy wolno poruszającego się samochodu ciężarowego, który nawet się nie zatrzymał, wskoczyłem na skrzynię ładunkową. Za miastem kierowca pozwolił mi wejść do szoferki, gdzie siedział też jego pomocnik. Z początku się wahalem. Ze skrzyni było łatwiej uciec w razie potrzeby. Siedząc między nimi możliwość taka odpadała. Ale zbliżał się wieczór i robiło się zimno, więc zaryzykowałem. Miałem nóż, co dodawało mi odwagi. Zapytany, podałem zmyślane nazwisko o polskim brzmieniu, dodając, że pracuję w tym samym przedsiębiorstwie (z napisu na drzwiach samochodu zorientowałem się, że samochód należał do Beskiden) i poprosiłem żeby mnie zabrał do Borysławia. Okazało się, że jechali tylko do Stryja (około 40 km od Borysławia) i wysadzili mnie przed wjazdem do miasta, obawiając się ew. kontroli policji, która często sprawdzała samochody na rogatekach.

Zapadł zmierzch i miałem zamiar przenocować w getcie, ale zbliżając się do miasta zauważyłem dużo niemieckich i ukraińskich policjantów, obstawiających getto, w którym właśnie odbywała się akcja. Ominąłem getto i przedostałem się na drugą stronę miasta, na szosę prowadzącą do Drohobycza. Postanowiłem, nie zatrzymując się, pójść dalej. Noc była pogodna i szedłem dość szybko by przed świtem dotrzeć przynajmniej do Drohobycza, odległego o około 30 km. Kilka razy mijaly samochody i motocykle wojskowe lub policyjne - obowiązywała godzina policyjna i ruch cywilny był zabroniony. Widząc że z daleka kryłem się w przydrożnych rowach lub krzakach.

W pewnej chwili usłyszałem z tyłu kroki. Gdy przystanąłem, nasłuchując, panowała cisza. Powtórzyło się to kilka razy. W końcu zacząłem podejrzewać, że to strach pobudza moją fantazję. Usłyszawszy znowu kroki usiadłem jednak pod przydrożnym drzewem i wtedy wyraźnie słyszałem zbliżającego się człowieka, który też się zatrzymał i po chwili usiadł po przeciwnej stronie tego samego drzewa. Słyszałem jak jęczał i wymamrotał kilka słów po żydowsku, uzalając się nad swoim losem ("oj

waj iz mir"). Wydawało mi się, że płakał. Okropnie się przeraził, gdy stanąłem przed nim z nożem w reku. Uspokoilem go oświadczając, że jestem też Żydem. Opowiedział mi, że uciekł z getta stryjskiego i zamierzał dostać się do rodziny w Drohobycz. Poprosił czy moglibyśmy pójść razem. Nad ranem dotarliśmy do przedmieścia miasta, które znałem bardzo dobrze. Tu ukończyłem przed wojną gimnazjum. Poprosiłem mojego przypadkowego towarzysza niedoli abymy się rozstali. Był on bardzo wynędzniały i miał typowy, rzucający się w oczy semicki wygląd, co zwiększało niebezpieczeństwo. Wytłumaczyłem mu jakimi ulicami dostanie się najbezpieczniej do getta i pożegnałem go.

Odczekałem chwilę i poszedłem znanymi mi drogami w kierunku ulicy Boryslawskiej, omijając Rynek. Obawiałem się, że przed ratuszem mogą stać warty. Mimo zmęczenia nie mogłem oprzeć się myśli by osiągnąć tak bliski już Boryslaw, odległy zaledwie o 9 km. Ulice były puste - trwała jeszcze godzina policyjna. Chodzenie w tych warunkach, przy świetle dziennym było bardzo niebezpieczne. Mimo zmęczenia szedłem bardzo szybko, chwilami biec. Byłem wprost podniecony bliskością Boryslawia. W okolicy wsi Derezyce, gdzie szosa opadła dość stromo, wyprzedził mnie na rowerze ukraiński policjant. Gdy zauważyłem że hamuje, odwróciłem się i zacząłem uciekać pod górę wiedząc, że nie będzie mógł mnie dogonić na rowerze. Zanim zsiadł z roweru dzielila nas już dość duża odległość. Gdy się obejrzałem zobaczyłem, że mierzy do mnie z rewolweru. Byłem spokojny, nie mógł mnie trafić z takiej odległości, ale strzelił. Widziałem jak po chwili wsiadł na rower i odjechał. Byłem jednak tak zmęczony, że wbiegłem w rosnące obok szosy zboże i natychmiast zasnąłem.

Po pewnym czasie obudził mnie ruch samochodowy. Nie wiem jak długo spałem. Ostrożnie wylazłem ze zboża i ruszyłem w dalszą drogę. Bez przeszkód dotarłem do miasta i w pobliżu dawnych warsztatów Nafta zobaczyłem grupę pracujących Żydów, wśród których rozpoznałem kilku znajomych.

Udanie się bezpośrednio do koszar uważałem za zbyt ryzykowne. Większość, łącznie z kierownictwem wiedziała za co mnie aresztowano i wywieziono z Boryslawia. Bałem się donosu. Poszedłem na Dolny Potok, (odległa od centrum dzielnica), gdzie na tartaku była skoszarowana mała grupa pracujących tam Żydów, a wśród nich dwaj bracia mojej matki. Na ich pomoc mogłem liczyć. Spotkanie było wstrząsające. Nikt nie wierzył, że żyje. Natychmiast zawiadomiono o moim pojawieniu się ojca i brata oraz kilku najbliższych przyjaciół.

W ten sposób zakończyła się moja fatalna "przygoda Janowska".

Wiadomość o istnieniu obozu na Janowskiej dotarła do Żydów Lwowskich na przełomie lat 1941/42, po utworzeniu getta, w którym zamknięto ponad 150 000 ludzi. W nieustających łapankach i obławach Niemcy zabierali setki osób z getta, pod pozorem uchylania się od pracy, oraz Żydów ukrywających się poza gettem i transportowali ich do obozu, który wkrótce zasłynął pod nazwą "obozu

śmierci". Nieliczni, którzy wrócili, głównie tacy, którzy mieli zaswiadczenia pracy, a których zabrano "przez pomyłkę", co się często zdarzało, opowiadali o panujących w obozie okropnych warunkach pracy i masowych rozstrzeliwaniach. Obóz stale się rozbudowywał i stał się z czasem miejscem, dokąd zwozono masowo Żydów z całego okręgu Lwowskiego. Po selekcji pozostawiano w obozie znikomą część ludzi, głównie młodych, zdolnych do pracy, a znakomitą większość wysyłano do obozów zagłady, przeważnie do Belżca. Nieludzkie warunki, panujące w obozie prowadziły konsekwentnie do fizycznego wyniszczenia więźniów, co opisałem wyżej.

Niestety, nie ma dokładnych danych, dotyczących ilości wymordowanych na Janowskiej ludzi. Ocenia się, że zginęło tam około 200 000 Żydów.

Na przełomie lat 1943/44, w miarę zbliżania się frontu wschodniego, Niemcy rozpoczęli zacieranie śladów popełnionych zbrodni. Odkopano zwłoki rozstrzelanych ofiar i masowo je spalono.

Lwów został wyzwolony przez wojska radzieckie w sierpniu 1944 r. i władze stosunkowo szybko uruchomiły uczelnie tak, że od października mogłem kontynuować moje studia na Politechnice. Po załatwieniu wszystkich spraw formalnych, udałem się po kilku dniach wraz z moją obecną żoną na teren byłego obozu Janowskiego. Część baraków i budynków gospodarczych jeszcze stała, większość jednak porządnie zdewastowana. Władze nie zrobiły nic by zachować pamięć miejsca kazi i morderstwa tak olbrzymiej ilości Żydów.

W milczeniu obchodziliśmy miejsce, gdzie tak niedawno przeżyłem najgorsze chwile w moim życiu. W myślach odżyły niektóre sceny z apelów, z doliny śmierci, z strzelania wynędzniałych więźniów, z bezlitosnego bicia za najdrobniejsze uchybienia przez SS-owców, którzy jak gdyby się przescigali w maltretowaniu ludzi. Na pytania rzadko odpowiadałem, nie słyszałem. W drodze powrotnej, opisując niektóre fragmenty z życia obozowego, sam się zastanawiałem, czyżby to wszystko było możliwe i to tak niedawno. Po drugiej stronie frontu wojna się jeszcze toczyła i w obozach zagłady mordowano dziesiątki tysięcy Żydów dziennie, a ja byłem wolnym człowiekiem.

Mimo intensywnej pracy związanej ze studiami i mimo trudności wynikających ze stanu wojennego, wspomnienia o przeżyciach na Janowskiej nie opuszczały mnie na chwilę. Najgorsze były noce pełne koszmarnych snów.

W miarę upływu lat przeżycia okupacyjne powoli zaczęły się zacierać w pamięci. Unikalem w miarę możliwości tematu, a środowisko, w którym żyłem i pracowałem, głównie nieżydowskie, nie wykazywało większego zainteresowania losem Żydów w czasie wojny.

Jak wspomniałem wyżej, w 1977 r. zostałem skonfrontowany z całą ostrością z przeżyciami na Janowskiej. Na toczącym się procesie w Saarbrücken przeciwko byłemu SS-owcowi z Janowskiej, F. Wilhelmowi Heinen, któremu akt oskarżenia zarzucał morderstwo 80 Żydów,

poszukiwano świadków oskarżenia. Niestety nie było ich wielu. Przy pomocy ogłoszenia w prasie izraelskiej odnaleziono mnie i na prośbę prokuratury i sądu, zgodziłem się świadczyć, mimo dużych oporów. Bałem się odnowienia zasklepionych ran. Na procesy byłych policjantów z Borysławia nie pojechałem. Wiedziałem, że było dość dużo, którzy przeżyli i zgoda się złożyć zeznania. Obóz Janowski przeżyła garstka Żydów, z czego niektórzy już nie żyli. Uważałem za swój obowiązek dać świadectwo tego co się tam stało.

Mimo oporów zeznawałem po niemiecku, ponieważ sprowadzony tłumacz nie mówił prawidłowo ani po niemiecku ani po polsku. Obroncy oskarżonego nie zadawali mi żadnych pytań. To co powiedziałem sądowi, było drobna cząstka tego co się działo w obozie, o czy dobrze wiedział oskarżony i jego obrońcy. Po złożeniu zeznań, co trwało 2 dni, natychmiast wyjechałem. Z proponowanego przez prezesa sądu, kilkudniowego wypoczynku na ich koszt, nie skorzystałem, ani nie żądałem odszkodowania za utracony zarobek, czemu bardzo się dziwili.

Wśród przysłuchujących się na rozprawie był kierownik zrzeszenia taksówkarzy, który zaofiarował się odwiedzić mnie na lotnisko. Gdy dojechalismy nie chciał przyjąć pieniędzy, ale zapytał czy może zadać mi jedno pytanie. Zgodziłem się oczywiście i wówczas usłyszałem "czy to wszystko co pan powiedział było prawdą". Powiedziałem, że Żydzi nie mają potrzeby niczego dodawać do tego co zrobili jego rodacy i odszedłem bez pożegnania. Był to człowiek w wieku około 35 - 40 lat.

W 1991 r. pojechałem wraz z córką, bratem, bratową, ich synem oraz grupą byłych Borysławiaków i Drohobyczan, mieszkających w Izraelu, w rodzinne strony, m.i. do Lwowa. Mimo, że mieliśmy bardzo dobrą przewodniczkę (studentka uniwersytetu), która dobrze знаła historie lwowskich Żydów, nie umiała nic powiedzieć na temat obozu Janowskiego. Na moją prośbę pojechalismy ulicą Janowska w kierunku przystanku kolejowego Lwów-Kleparów. Od głównej linii kolejowej prowadziła do byłego obozu bocznicą, która urywała się tuż przed wysokim, betonowym ogrodzeniem. Okazało się, że mieściło się tam duże więzienie, obok znajdowały się budynki garnizonu wojskowego, a na tyłach założono hodowlę psów. Ani wojskowi, ani nikt z napotkanych tubylców nic na temat obozu nie wiedzieli.

Było to dla mnie niezwykle bolesne przeżycie. Czyżby władze radzieckie były zainteresowane w zatarciu śladów zbrodni niemieckich. Przecież ustawienie przynajmniej skromnej tablicy pamiątkowej nie stanowiło dużych trudności ani kosztów.

Większość obozów zagłady na terenie Polski i byłych Niemiec została w taki czy inny sposób upamiętniona. Obóz śmierci na Janowskiej miał pójść w zapomnienie. Nie mogłem na to pozwolić i mimo bólu, doznawanego przy rozdrapywaniu starych ran, zdecydowałem się, przynajmniej w dużym skrócie, opisać to co się w tym obozie działo.

Ogłoszenie w prasie Izraelskiej.
Komenda Główna Policji Izraelskiej poszukuje
świadków zbrodni, dokonanych przez Niemców
w obozie JANOWSKA lub w ZOLKWI
(wśród nich autora wspomnień).

Lund, (Szwecja), grudzien, 1995.



Pan FRIESEL Benjamin, ur. 3.1.1911
Dr. HEILIG Mattes
Pan PRAGLOWSKI (dawniej HECHT) Adoif
Pan GERBER Szaj
Pan SCHMERLER Artur
Pan WACHTEL-WINNICKI Bronisław Adoif
Pan ZIMMERMANN Leopold, ur. 26.3.1920,
którzy w okresie okupacji hitlerowskiej przebywali
w obozie JANOWSKA (Lwów)

lub w ZÓŁKWI

proszeni są o zgłoszenie się w Jednostce Badania Zbrodni
Hitlerowskich przy Komendzie Głównej Policji Izraelskiej,
Tel Awiw - Jaffo, Derech Salame 18, tel. 835181, lub w jed-
nostce policji w pobliżu miejsca zamieszkania.

Osoby znające miejsca pobytu w/w proszone są o po-
danie ich do wiadomości wspomnianej jednostki policji.

NOWINY KURIER 3

Z POWROTEM W BORYSLAWIU KRYJÓWKA

Po powrocie ze Lwowa opowiadano mi co się działo w czasie mojej nieobecności. W dalszym ciągu odbywało się polowanie na kobiety niepracujące, dzieci oraz ludzi przebywających w koszarach bez stałego miejsca pracy. Zlikwidowano szereg placówek pracy, tworzone brygady robocze, które wysyłano do okolicznych miejscowości, do budowy lotniska w Stryju, do Dachówczarni w Drohobyczu i t.d. Naszego ojca właśnie wysłano do Dachówczarni. Po pewnym czasie zezwolono mu pojechać do Borysławia by skompletować sobie ubranie. Gdy po dwóch dniach miał wrócić, brat i bratowa usiłowali go zatrzymać, ale on upierał się, że musi stawić się do roboty bo kończyła mu się przepustka. Bratowa, widząc, że go nie przekona schowała mu buty i mimo awantury, nie ustąpiła. Okazało się, że uratowała mu życie. W kilka dni potem obóz w Dachówczarni zlikwidowano, a pracujących tam Żydów wysłano do obozu zagłady w Belczu.

Po około tygodniowym wypoczynku na tartaku, musiałem jednak pomyśleć co ze sobą zrobić. Dalsze nielegalne przebywanie na tartaku było niebezpieczne. Musiałem zdobyć dokument potwierdzający, że gdzieś pracuję, co było jednoznaczne z ujawnieniem się. Po pewnym wahaniu udałem się do biura, gdzie pracowałem przed aresztowaniem, mając nadzieję, że dyr. Fischer mi pomoże. Nie pomyliłem się. Spotkanie miało niespodziewany przebieg. Fischer zaprosił mnie do swojego gabinetu, poczęstował mnie kawą i poprosił bym mu wszystko opowiedział, gdzie byłem, co przeszedłem i jak to się stało, że wróciłem do Borysławia. Z początku starałem się opisać wszystko kilkoma zdaniami, ale on był ciekaw wszystkiego. W czasie opowiadania stałe zadawał pytania i w pewnej chwili, gdy mówiłem co się działo na Janowskiej, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Pomyślałem, że chwyci za telefon i zadzwoni na policję. Ale on zatrzymał się przedemną i powiedział; "glauben Sie mir Herr Heilig, darueber hat man nie gesprochen" (proszę mi uwierzyć panie Heilig, o tym nigdy nie mówiono). Wierzyłem mu. Był zdecydowanie poruszony. Na koniec zadał mi pytanie, które, mimo powagi sytuacji mnie rozbawiło. "Jak pan to zrobił, bez opaski przyszedł pan ze Lwowa". Z opaską bym z pewnością nie przeszedł tej drogi (110 km). Przytaknął i usmiechnęliśmy się obaj. Zapytał jakie mam plany. Powiedział, że niestety nie może mnie przyjąć do pracy u siebie, bo za dużo ludzi wie o tym co się stało. Uważał, że powinienem być jak najmniej widoczny w Borysławiu i nie czekając na odpowiedź zatelefonował do dyrektora Meyera, który był szefem Bauabteilung (oddział budowlany) i któremu podlegał duży oddział transportowy. Powiedział, że ma tu bardzo zdolnego młodego człowieka i że mu zależy by go przyjął do pracy. Na drugi dzień miałem się zgłosić do Meyera po przydział miejsca pracy. Przy pożegnaniu powiedział, że będzie jeszcze z Meyerem rozmawiał na mój temat. Zegnął mnie bardzo

serdecznie i życzył powodzenia. Wyraził przekonanie, że będę się czuł dobrze na nowym miejscu. Gdy wychodziłem dodał; "ja Herr Heilig, man muss nur Mazel und Bruche haben" (tak panie Heilig, trzeba tylko mieć szczęście i błogosławieństwo, z hebrajskiego). Zdumiony zapytałem skąd on to wie. "Ich weiss es Bescheid" (wiem o tym dobrze) odpowiedział i uśmiechnął się.

Po rozmowie z Fischerem nie opuszczała mnie jedna myśl. Dlaczego nie zadzwonił na policję. Wiedząc o wszystkim, był to właściwie jego obowiązek. A może to zrobi i jutro na nowym miejscu będzie czekała na mnie policja. Ale idąc do pracy na drugi dzień byłem jednak spokojny. Wierzyłem mu.

Meyer przyjął mnie do pracy i po załatwieniu formalności otrzymałem tak bardzo ważny Arbeitsausweis oraz oznakę "R". Spowodował też, że otrzymałem, wydany przez policję Passierschein (przepustkę), uprawniający mnie do chodzenia na terenie miasta "ohne arische Begleitung" (bez eskorty). Mogłem teraz wrócić do koszar, do pokoju, w którym mieszkalem uprzednio, razem z dwoma braćmi Lieberów, Milkiem Friedländerem oraz bratem.

Zostałem przydzielony do brygady transportowej i z grupą około 25 - 35 ludzi byłem odpowiedzialny za przewóz materiałów do prowadzonych robót budowlanych. Kursowałem głównie na linii Drohobycz - Borysław, przewożąc kilkoma samochodami cegły z Dachówczarni (gdzie skoszarowana była grupa Żydów, przeważnie z Drohobycza).

Gdy pierwszy samochód z całą brygadą wyjeżdżał do pracy byliśmy eskortowani przez ukraińskiego policjanta, który w czasie przejazdu i na miejscu pracy nas pilnował i wracał ostatnim samochodem po zakończeniu dnia pracy. Był mroźny zimowy dzień i policjant, który zwykle siedział na skrzyni ładunkowej samochodu, razem z pilnowanymi robotnikami wsiadł do kabiny szoferskiej. Było to moje miejsce i gdyby było ciepło nie zareagowałbym. Ale nadarzyła się okazja by się na nim odegrać. Zatrzymałem samochód, prosiąc go by usiadł razem z ludźmi, bo może ktoś po drodze uciec i będę miał przykrości. Ale on się uparł i groził mi karabinem. Meyer, widząc że samochód nie odjeżdża, zapytał mnie dlaczego stoimy. Gdy mu wyjaśniłem o co chodzi rozłósł się i wrzeszczał "Du Schwein" (ty świnię), trzasnął policjanta w twarz, tak że mu czapka zleciała na ziemię i rozkazał mu usiąść na skrzyni, obok robotników. Przez całą drogę i na miejscu pracy policjant ciągle mi groził, że znajdzie okazję by mnie zastrzelić. Gdy opowiedziałem to Meyerowi, policjant ten więcej się nie pokazał.

Zauważyłem kiedyś, że przy przeładunku cegieł, po krótkim czasie konce palców robotników zaczęły krwawic. Poprosiłem Meyera o rękawice robocze i otrzymałem zlecenie do magazynu na wydanie rękawic dla wszystkich pracowników.

Praca w transporcie miała poza pewną swobodą ruchu dodatkową, ważną zaletę. W dni targowe wiesniaczki za przewiezienie z Borysławia do Drohobycza płaciły w naturze; oselka masła, serem, wiejskim chlebem i t. p. Ponadto można było łatwiej kupić pewne rzeczy.

Pewnego dnia, gdy wyladowywaliśmy przywiezione materiały na placu budowy na dawnych

polach Lindenbauma, obok byłych warsztatów Nafta, zauważyłem dwa samochody ciężarowe, pełne siedzących na skrzyniach ładunkowych Żydów, pod eskortą policjantów, jadące w kierunku leżacej w pobliżu rzeźni. Było to miejsce masowych rozstrzeliwań Żydów aresztowanych, często bez powodu, za drobne wykroczenia, zatrzymanych na fałszywych dokumentach lub wykrytych w lasach oraz innych miejscach gdzie się ukrywali. Zdarzało się, że zabijano ich razem z przechowywanymi ich Polakami. Tak m.i. został zamordowany młody Frankiewicz razem z przechowywaną Maszą Lerner i jej siostra. Siedzący w drugim samochodzie, mój rówieśnik i znajomy, Seifert, kiwał do mnie reka na pożegnanie. Nagle Meyer wybiegł z biura i zapędził mnie do wnętrza budynku. Nie chciałem na to patrzeć i wyraźnie oburzony. powiedział: Wojnę tośmy już dawno przegrali, Heilig, (była to jesień 43), ale jeszcze przedtem "muessen wir die Wanzen ausbrennen" (musimy wpalić te pluskwy). Miał na myśli Gestapo. Po powrocie do koszar dowiedziałem się, że ci, których wieźli na rozstrzelanie to byli głównie ludzie z wykrytych poprzedniego dnia bunkrów w lesie.

Meyer często wdawał się w rozmowę ze mną, wielokrotnie pytał o mój zawód, co się dzieje z moim ojcem i t.d. W okresie masowych nalotów na Niemcy, zatrzymał mnie pewnego dnia w biurze. Zaniepokoiłem się, bo każda niespodziewana zmiana w tym okresie nie wróżyła niczego dobrego. Po rozdysponowaniu robót zwrócił się do mnie i powiedział, "die Engländer, die Spitzbuben haben mich heutemorgen total ausgebomt" (lotry, Anglicy, totalnie mnie zbombardowali dziś rano). Zaczął opowiadać, że jest z zawodu murarzem, że o własnych siłach wraz z żoną zbudowali pod Hamburgiem w Altonie dom, który teraz Anglicy zamienili w ruinę. Wyraziłem oczywiście współczucie.

Wielokrotnie, gdy policja wykrywała ukrywających się Żydów, których natychmiast rozstrzeliwano, ostrzegał mnie by się nie schować, bo jak przyjdzie na to pora "da werde ich dir einen Wink geben"(to dam ci znać).

Mimo unormowanych warunków pracy i mimo, że byliśmy w pewnym stopniu chronieni, zdawaliśmy sobie sprawę, że nie wolno nam biernie czekać. Sytuacja na froncie uległa radykalnej zmianie i Niemcy stale "taktycznie skracali front", co świadczyło o tym, że się cofają. W koszarach policja urządzała coraz częściej apele i przy każdej takiej okazji wylawiali pod różnymi pozorami kilka lub kilkanaście osób, co było jednoznaczne z wyrokiem śmierci. Na szczęście udało mi się uniknąć tego rodzaju zbiorów. Dokonywanym przeglądów był najczęściej Nemez, który byłby mnie z pewnością poznał, co oznaczało by wyrok śmierci.

Pewnego dnia wróciwszy z pracy zastałem w pokoju ojca kolegi szkolnego, Glockenberga. Zanim go zapytałem czego sobie życzy zaczął płakać. Opowiedział mi, że Polacy ukrywający w Stryju (około 40 km. od Borysławia) jego córkę, Lotkę, która dobrze znałem, zawiadomili go, że sąsiedzi podejrzewają, że przechowują Żydówkę i groza doniesieniem na policję. W tej sytuacji musi ona jak najszybciej wynieść się z ich mieszkania. Jeżeli nie zrobi tego w najbliższych dniach, będzie musiała

wyrzucić ją z domu. On sam nie ma żadnej możliwości sprowadzenia jej do Borysławia i wiedząc o tym, że pracuje w transporcie, błagał mnie bym po nią pojechał. Był gotów zapłacić każdą cenę. Usiłowałem tłumaczyć mu, że nie jeżdżę do Stryja i że to bardzo niebezpieczne, ale bez skutku. Obiecałem, że zrobię coś będzie możliwe.

W zasadzie jeździłem tylko do Drohobycza oraz na terenie miasta, na dworzec kolejowy i do różnych magazynów. Na każdą jazdę musiał być wystawiony rozkaz wyjazdu. Bez takiego dokumentu, w razie kontroli, które były dość częste, groziła surowa kara. Wśród kierowców z którymi pracowałem byli Polacy i Ukraińcy i miałem z nimi dobre stosunki, ale jeden z nich, młody Polak po maturze, który był szoferem z powodu niemożności kontynuowania nauki wzbudzał największe zaufanie. Na drugi dzień po odprawieniu wszystkich samochodów powiedziałem mu, że dziś pojedzie z nim. Po drodze opowiedziałem mu o co mnie prosił Glockenberg i zapytałem czy byłby gotów pojechać ze mną do Stryja po Lotkę. Nie miałem najmniejszej nadziei że się odważy. O dziwo wyraził zgodę. W dachówczarni kazałem załadować ten samochód w pierwszej kolejności. W przedniej części skrzyni ładunkowej kazałem zostawić lukę między ceglami i burtą. Odlaczyliśmy przyczepę, którą kazałem załadować pod koniec dnia i po której mieliśmy wrócić. Droga do Stryja, około 30 km, przejechaliśmy bez przeszkód. Tuż przed wjazdem do miasta zatrzymała nas kontrola drogowa (Feldgendarmarie). Na samochodzie był napis "Karpathen Öl AG Lemberg, Betriebsinspektion Boryslaw". Oddział Karpathen w Borysławiu podlegał dyrekcji koncernu we Lwowie. Stryj leżał na drodze między Borysławiem i Lwowem (Lemberg). "A nach Lemberg" (o do Lwowa), powiedział jeden z policjantów, podczas gdy drugi obszedł samochód dookoła. Nie miałem opaski na ramieniu. Powiedziałem, że jedziemy tylko do Stryja. Kazał nam jechać. Widziałem, że Kazik (kierowca) zbladł nieco.

Pod wskazanym adresem, samochód zatrzymał się na drodze a ja wszedłem na podwórze, i zapytałem wychodzącego właśnie z domu, wyraźnie zdenerwowanego mężczyznę, który usiłował zamknąć drzwi na klucz. "Czy to przypadkiem pan N?". Gdy potwierdził, powiedziałem, że przyjechałem po Zydówkę, która się u niego ukrywa. "Jezus, Maria, panie, ja nie ukrywam żadnych Żydów", mówiąc to, cały się trząsł i patrzył na stojący obok samochód. Samochód był pokryty czarną plandeką, co było typowe dla samochodów policyjnych. Próbowałem go uspokoić mówiąc, że też jestem Żydem i pokazałem mu opaskę, którą wyciągnąłem z kieszeni. Gdy mu podałem imię Lotki i wspomniałem list przesłany do jej ojca, uspokoił się trochę i poprosił bym poczekał. Wszedł do domu i za chwilę wyszedł razem z Lotką, która na mój widok się rozplakała.

Umieściłem ją w przygotowanej luce, między ceglami i prosiłem kierowcę aby jak najszybciej wracać. Chodziło mi o to by spotkać tych samych policjantów, którzy nas sprawdzali w drodze do Stryja. Tak się też stało. Gdy zbliżaliśmy się do nich podnieśli ręce na znak by się zatrzymać. Dojeżdżając wychyliłem się z szoferki, dając do zrozumienia, że to ci sami, których kontrolowali w

drodze do miasta. Poznali mnie i dali znak, ze mozna jechac. Droga do Drohobycza minela bez przeszkód. W Dachówczarni podlaczylismy przyczepe i wrócilismy do Borysławia. Po skończonej pracy odprowadzilem Lotke do ojca.

Los Lotki nie byl wyizolowanym przypadkiem. Zdarzalo sie, ze przechowywacy Zydów po pewnym czasie wyrzucali ich na bruk, obawiajac sie podejrzliwych sasiadów, wzglednie gdy przechowywanym zabraklo pieniedzy. Tego rodzaju smutne doswiadczenia z ukrywaniem sie u aryjczyków, a przede wszystkim brak tak bardzo zaufanych ludzi oraz koniecznych na to funduszy wykluczyl te mozliwosc w naszych rozwarzaniach nad planami ratowania sie. Budowa bunkra w lesie stawala sie coraz bardziej nierealna wobec dosc czestego wykrywania ludzi tam ukrywajacych sie. Dzialo sie to przy wydatnej pomocy Ukrainców z okolicznych wsi. Pozostawala jedynie budowa kryjówki w odpowiednim do tego miejscu w miescie. Trudnosc polegala na znalezieniu takiego miejsca.

A czas naglil. Równolegle ze zblizaniem sie frontu wschodniego Niemcy wzmozgli akcje zmniejszania liczby mieszkanców obozu. Likwidowano coraz czesciej niektóre, mniej wazne wedlug ich oceny placówki pracy, a robotników wywozono wzglednie zabijano na miejscu, pod rzeznia. Tak zginal mieszkajacy z nami Milek Friedländer, który w naszych dyskusjach zawsze pesymistycznie ocenial szanse uratowania sie. Jak gdyby mial przeczucie tego co go mialo spotkac.

Jak juz wspomnialem mielismy dokladne rozeznanie w rozkladzie oddzialów i budynków w miejscu pracy. Brat oraz obaj bracia Lieberowie w dalszym ciagu tam pracowali. W mysl zasady, ze najciemniej jest pod latarnia, wybór padl na szatnie i przylegle do niej nieczynne klozety. Wydawalo nam sie, co okazalo sie sluszne, ze nikt nie bedzie podejrzewal, ze ktos moze sie ukrywac w dyrekcji przedsiębiorstwa. Miejsce bylo o tyle wygodne, ze mozna bylo dostac sie do niego zarówno z wnetrza budynku jak i z zewnatrz, co ulatwialo wchodzenie i wychodzenie w czasie budowania kryjówki.

Po podjeciu decyzji praca posunela sie szybko. We czwórke wychodzilismy z obozu po godzinie policyjnej, conajmniej co druga noc. W chwilach slabosci mobilizowalismy sie nawzajem. Przy pomocy dorobionych kluczy dostawalismy sie do budynku biurowego. W schodach prowadzacych ze szatni na strych obluznilismy kilka pierwszych stopni, wycielismy w podlodze otwór, przez który dostawalismy sie pod szatnie. Najtrudniejsza robota bylo wykonanie wykopu pod szatnia i usuniecie ziemi w sposób nie pozostawiajacy sladów. I pod tym wzgledem wybór byl trafny. Niedaleko od budynku plynela rzeka. Wybilismy otwór w murze oddzielajacym szatnie od nieczynnego dolu kloaczego i przez wlasz do niego wynosilismy wiadrami wykopana ziemie do rzeki, rozrzucajac ja na dosc duzej przestrzeni. Kryjówka miala pomiescic 7 osób, w tym 6 miejsc do spania w dwóch poziomach, stolik z kilkoma taburetami, miejsce na zapas zywnosci na conajmniej 6 miesiecy, sprzet do gotowania i pieczenia chleba, oraz oddzielny korytarz, na którego koncu miescil sie klozet z odprowadzeniem do dolu kloaczego. Biorac pod uwage, ze wysokosc pozwalala na swobodne stanie,

oceniam, że wyniesliśmy kilkanaście metrów szesciennych ziemi. Ściany i podłogę pokryliśmy deskami. Dużym ułatwieniem w zdobyciu materiałów, narzędzi, dorobieniu kluczy i innych rzeczy była praca w Bauabteilung, gdzie mieszcili się różne warsztaty. Jedną z pierwszych instalacji było doprowadzenie prądu. Światło było konieczne już w fazie prac. Oderwalismy listwę pokrywającą szczelinę między dwiema deskami w ścianie działowej i z najbliższej rozety doprowadziliśmy przewód wzdłuż szczeliny i przez otwór w podłodze do kryjówki. Po przymocowaniu listwy na poprzednim miejscu przewód nie był widoczny. Doprowadzenie wody nie sprawiało trudności. Rurociąg doprowadzający wodę do nieczynnych klozetów biegł pod szatnią. Najtrudniejsze było doprowadzenie gazu. W Boryslawiu większość budynków biurowych i fabrycznych miała instalacje gazowe. Gaz był produktem lokalnym, obok wydobywania ropy naftowej. Główny przewód biegł wzdłuż dachu. Specjalnym przecinakim (Kreismeissel) przecielismy rurę i założyliśmy objemkę. Operacja bardzo niebezpieczna. Najmniejsza iskra przy przecinaniu rury mogła spowodować pożar. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, pracowaliśmy bardzo ostrożnie i mieliśmy w pogotowiu szmaty nasączone wodą. Na szczęście wszystko obeszło się bez kłopotów. Przygotowanymi, nagwintowanymi rurami o odpowiedniej długości, biegnącymi wzdłuż ścian doprowadziliśmy instalacje do kryjówki. Widoczna z zewnątrz rura gazowa, wchodząca w ziemię nie wzbudzała podejrzeń. Było to powszechne w domach ogrzewanych gazem. We wszystkich tych pracach, głównie instalacyjnych, pomogło nam doświadczenie zdobyte w poprzednich, przymusowych miejscach pracy.

W tej niezwykle intensywnej i niebezpiecznej pracy nie brakło momentów komicznych. Do pokrycia ścian zabrakło nam desek. Zaproponowałem, że przywiozę następnego dnia. Ale brat miał lepszy pomysł. Dziedziniec biurowy był zamknięty rzędem nowozbudowanych klozetów, w miejscach nieczynnych obok szatni. Zgodnie z jego propozycją, która nie była pozbawiona ryzyka, oderwalismy prawie całą tylną ścianę klozetów. Gdy następnego dnia urzędnicy, którzy chcieli skorzystać z ubikacji, po otwarciu drzwi zobaczyli ze zdziwieniem leżące obok pola. Wytłumaczono sobie, że mieszkający w sąsiedztwie ludzie rozebrali deski na opał.

Podobne rozwiązanie miało miejsce w końcowym etapie budowy. Należało zamurować wybitą między kryjówką a dołem kloacznym otwór, przez który wynosiliśmy ziemię względnie dostawaliśmy się do wnętrza z zewnątrz. Specjalista-murarzem był brat. Zabrakło piasku do zaprawy. Tu też nie chciał czekać do następnego dnia. Zaproponował, aby wziąć piasek przygotowany do posypywania oblodzonego chodnika, ze skrzyni znajdującej się na ulicy w niedużej odległości. I to się udało, ale przeżyliśmy chwilę strachu. W czasie napełniania wiader piaskiem usłyszeliśmy stukot kopyt konskich. Przejechał akurat patrol Reiterzugu. Przykucnelismy za skrzynią.

Po zainstalowaniu gazu podłączyliśmy dwupalnikową kuchnię i sprawa gotowania posiłków była rozwiązana. Ale nie zadowoliliśmy się tym. Według sporządzonych szkiców wykonano nam w

warsztacie blacharskim piec gazowy do pieczenia chleba, który zdał świetnie egzamin.

Kryjówka była w zasadzie gotowa. Pozostała sprawa zaopatrzenia w żywność oraz inne konieczne rzeczy, jak pościel, bielizna, sprzęt kuchenny, mydło, papier, przybory toaletowe i t.p. Zdobyć żywności na kilka miesięcy było rzeczą bardzo trudną - obowiązywała ścisła reglamentacja - oraz kosztowna. Ponadto wniesienie tak dużej ilości żywności do kryjówki było połączone z dużym ryzykiem.

Zdecydowaliśmy się na szalony plan. Naprzeciwko budynku, w którym była kryjówka znajdował się podobny, w którym na parterze mieściła się stolówka i magazyn żywnościowy. Z tego magazynu postanowiliśmy się zaopatrzyć. Po kilku próbach udało nam się dobrać klucze do magazynu. Pod osłoną nocy, jak wszystko dotąd, brat i Dolek Lieber weszli do magazynu i zamknęliśmy ich z zewnątrz. Po przysunięciu worków z żywnością pod drzwi, na dany znak otworzyliśmy drzwi i we czwórce przeniesiliśmy wszystko możliwie szybko do naszego budynku. A było tego sporo. Pół worka pecaku, tyleż soczewicy, wiele kilogramów maki, soli, cebuli. Wystarczy podkreślić, że żywności nam nie zabrakło aż do wyzwolenia. Chciałbym w tym miejscu przypomnieć, że w frontowym budynku, w odległości kilkunastu metrów, stale dyżurowali dwaj uzbrojeni wartownicy (Werkschutz). Z ogromu niebezpieczeństwa zdawaliśmy sobie sprawę, ale ryzyko było jednorazowe, podczas gdy stopniowe wnoszenie takich ilości do kryjówki uwielokrotniało możliwość przyłapania nas.

Po wniesieniu wszystkiego do kryjówki byliśmy zupełnie nerwowo wykończeni. Tej nocy nie byliśmy w stanie cokolwiek zrobić. Nie wróciliśmy do koszar, aby rano, przed nadejściem pracowników sprawdzić, czy nie pozostawiliśmy śladów między budynkami, np. wysypane z worków artykuły żywnościowe. Wszystko było w porządku. Oczekiwaliśmy z podnieceniem reakcji magazyniera, ale niczego nie zauważyliśmy.

Pod koniec grudnia 1943 kryjówka była gotowa do przyjęcia mieszkańców. Wejście do niej, po zamurowaniu otworu w murze, było możliwe jedynie z wnętrza budynku. Zakładając, że wycofując się Niemcy wysadzą elektrownię, co też się stało, zaopatrzyliśmy się w kanister nafty i lampę. Zdając sobie sprawę, że będziemy zupełnie odcięci od świata zewnętrznego i wydarzeń wojennych, zaopatrzyliśmy się w radio, wyposażone w 2 pary słuchawek, w miejsce wymontowanego, dla pewności głośnika. Podkreślam, że posiadanie radia było zabronione.

W pierwszych dniach stycznia 1944 wprowadziliśmy do kryjówki ojca, Blanke i Mine, przyszłą żonę brata. Umieszczenie dziewcząt nie sprawiało trudności. Zostały one po prostu po pracy w biurze. Ojca wyprowadziliśmy z koszar po godzinie policyjnej przez przygotowaną uprzednio szczelinę w płocie, zamaskowaną obłuzowanymi deskami. W momencie kiedy przechodziliśmy przez płot, brat udawał w innym miejscu, że próbuje przelazic przez ogrodzenie. Robił to tak głośno, że odwrócił uwagę wartowników. Przyłapano go też i na drugi dzień publicznie został ukarany chłosta.

Kare wykonywał, dość łagodnie, znający z Ordnungsdienstu. Przez całą drogę ojciec był okropnie zdenerwowany. Od pewnego czasu wiedział, że przygotowujemy kryjówkę, ale nie znalazł miejsca. Baliliśmy się, że w przypadku aresztowania mogli by biciem zmusić go do wydania miejsca.

Brat i ja oraz bracia Lieberowie pracowaliśmy w dalszym ciągu pilnie obserwując rozwój sytuacji na froncie wschodnim. Kilka razy odwiedziliśmy kryjówkę i stwierdziliśmy, że dają sobie świetnie radę. W związku z chorobą swojego ojca, bratowa musiała wrócić na kilka dni do koszar. O ojca nikt nie pytał. W koszarach ludzie często znikali i znowu się zjawiali.

Pewnego dnia Meyer zatrzymał mnie w biurze. Gdy rozdysponował robotę kazał mi pójść do stolarni (oficjalna nazwa Skrzynkarnia) i napisać na przygotowanych tam dużych skrzyniach jego adres. Zauważył kiedyś jak technicznym pismem wypełniałem jakąś tablicę. Takim właśnie pismem kazał napisać adres na skrzyniach. Podając mi kartkę z adresem (Hamburg Altona), uśmiechnął się. Kilka miesięcy przedtem, wyjeżdżając na urlop nie chciał mi dać adresu. Skrzynie były wypełnione meblami i innymi rzeczami zarekwirowanymi głównie u Żydów. Po kilku dniach odwiedziłem skrzynie na dworzec, zamknąłem wagon i oddałem mu klucze.

Zauważyliśmy też, że Niemcy rozpoczęli wywożenie droższych maszyn i materiałów z magazynów. Atmosfera w koszarach stała się coraz bardziej niespokojna. Stale likwidowano mniejsze placówki pracy, a robotników wywożono, według Niemców na inne miejsca pracy. Po naradzie doszliśmy do wniosku, że dalsze zwlekanie jest niebezpieczne.

Na początku kwietnia 1944 r. wyszliśmy ostatni raz z koszar i spotkaliśmy się po pracy w budynku, gdzie mieściła się kryjówka. Oczekaliśmy do późnego wieczora i na dany znak dziewczęta wpuściły nas do kryjówki. Wejście można było otworzyć tylko od wewnątrz.

Zastaliśmy całą trójkę w dobrym nastroju. Wszystkie urządzenia działały należycie. Nie zauważyli niczego co by wskazywało, że pracujący w biurze domyślają się, że pod budynkiem ukrywają się Żydzi. Ustaliliśmy, że w dzień sześć osób będzie spało, a siódmy będzie miał dyżur (dotyczyło tylko mężczyzn, poza ojcem), pilnując by ktos nie chrapał zbyt głośno i nasłuchiwał ew. odgłosów z zewnątrz. Głośno zachowujących się w szatni, np. sprzątaczkę, również Żydówkę z koszar, można było usłyszeć. Był to znak, że niedługo zacznie się praca w biurze, a także, że koszary jeszcze istnieją. To ostatnie wskazywało, że Niemcy jeszcze pozwalają Żydom pracować. W ostateczności, w nieprzewidzianych przypadkach można było wyjść z kryjówki.

Trzy takie wydarzenia miały miejsce. Po kilku tygodniach pobytu w kryjówce brat z bratową musieli szukać pomocy lekarskiej. Lekarz, dr. Musiał, mieszkał na Wolance, w dzielnicy w której Żydom nie wolno było przebywać. Wyszli z kryjówki nad ranem i wrócili szczęśliwie po zapadnięciu zmroku. Ryzykowali oni nie tylko własne życie, ale ponadto biciem można było wymusić od nich skąd przyszli. Dla nas, zamkniętych w kryjówce, dzień ten wydawał się nieskończenie długi.

Drugi raz był niemniej dramatyczny. Jedyne nasze radio ze światem, radio przestało działać. Była to spora skrzynia, którą opakowaliśmy możliwie nie rzucając się w oczy i po dyskusji ja miałem udać się do radiotechnika, który mieszkał w sąsiedztwie koszar. Z pistoletem w kieszeni i radiem w ręku dotarłem do celu zanim on udał się do pracy. Był przerażony, jak też i żona, jak mnie zobaczyli. Obiecał naprawić jak wróci z pracy, tłumaczyć mi jak bardzo się naraża. Ale nie mogłem się na to zgodzić i w końcu dał się przekonać. Wyszedłem od nich po zapadnięciu zmroku. Za naprawę obiecałem zapłacić po wyzwoleniu, na co się uśmiechnął. W ciągu dnia kilka razy częstowali mnie jedzeniem. Ale widziałem jak bardzo byli podenerwowani. Nic dziwnego. Przechowywali Żydów i naprawiali radio, jedno i drugie surowo karalne. Po powrocie odczekałem trochę w pobliżu budynku i upewniwszy się, że nikogo nie ma w sąsiedztwie, na umówiony znak wpuszczono mnie do kryjówki.

Do radia nie mieliśmy szczęścia. Po pewnym czasie znowu przestało działać. Tym razem brat udał się do radiotechnika. Po całodziennym, nerwowym oczekiwaniu usłyszeliśmy umówiony znak. Szczęśliwi wpuszcziliśmy go do kryjówki.

Życie w kryjówce sprowadzało się do spania, przyrządzania jedzenia i co najważniejsze, do słuchania komunikatów radiowych o sytuacji na frontach. Dziewczeta sprzątały, prały i w ogóle dbały o czystość. Ja raz w tygodniu piekłem chleb. Kromka chleba stanowiła dzienną rację na osobę.

Umiejętność ta przydała mi się po przybyciu do Szwecji. Nie mogliśmy przyzwyczaić się do słodzonego, a ponadto bardzo drogiego chleba. Do dziś piekę chleb, który wszyscy poczęstowani bardzo chwalą.

Nastroj był na ogół pogodny. Najgorzej znosił zamknięcie w małej przestrzeni ojciec, choć nie skarżył się nigdy. W miarę możliwości staraliśmy się osłodzić mu ciężkie chwile. Do mnie też należał obowiązek golenia go. W czasie wojny i wiele lat potem golilem się brzytwą, co się przydało w kryjówce. Gorzej było ze stryżeniem. Po kilku tygodniach zarosliśmy porządnie. Mimo skrupulatnego planowania zapomnieliśmy o nożyczkach. Jak dotąd i tym razem postąpiliśmy ryzykownie. W kuchni, która mieściła się, jak już wspomniałem w budynku obok, wydająca obiady kobieta wycinała kupony z kartek żywnościowych nożyczkami. Widzieliśmy to i te nożyczki postanowiliśmy zabrać. Noca dwóch wyszło z kryjówki i po kilkunastu minutach mieliśmy się czym strzyć. Przy okazji powiększyliśmy sobie trochę zapas soli.

Nie przypominam sobie abysmy mówili o możliwości wykrycia kryjówki, choć z pewnością niejednokrotnie myśl taka przebiegała nam przez głowę. Mówiliśmy dużo o planach na przyszłość. U wszystkich przebiegał zdecydowany pogląd. W tej części Europy nikt nie zostanie.

Pewnej nocy, (właściwie dnia), Dolek nagle się zerwał ze snu i poprosił mnie, miałem własnie dyktando, o papier i ołówek. Przypomnił sobie we śnie adres wujka w Palestynie. Zarówno on jak i Józek bezskutecznie usiłowali przypomnieć sobie ten adres uprzednio.

Sytuacja na froncie wschodnim rozwijała się bardzo korzystnie. Zarówno komunikaty z BBC, jak i rosyjskie donosiły o dużych postępach Armii Czerwonej. Również we Włoszech wojska sprzymierzone posuwały się naprzód. Rosła nadzieja, że niedługo zostaniemy wyzwoleni. Ale Rosjanie po przekroczeniu przedwojennej polskiej granicy nagle się zatrzymali, co nas zaniepokoiło. Tłumaczono to koniecznością podwieżenia świeżych dostaw. Jednocześnie Rosjanie coraz natarczywiej domagali się otwarcia drugiego frontu przez aliantów.

W dniu 6 czerwca 1944 roku usłyszeliśmy komunikat radia londyńskiego o wylądowaniu pierwszych oddziałów wojsk sprzymierzonych w Normandji. Radość nasza nie miała granic. Mimo ciężkich walk i dużych strat, o których donoszono zrozumieliśmy, że koniec musi być bliski. Okazje te ucziliśmy w sposób, który obiecaliśmy sobie jeszcze przed ukryciem. Otworzyliśmy przeznaczoną na te chwile butelkę wódki i każdy dostał po kieliszku. Reszta zachowała się by święcić wyzwolenie. Wierzyliśmy, że przyjdzie ono ze wschodu, było po prostu bież.

Sluchając pewnego dnia radia BBC usłyszałem „unbemannte deutsche Flugzeuge ueber London” (samoloty niemieckie bez załogi nad Londynem). Byłem przekonany, że się przesłyszałem, ale w audycji polskiej to się potwierdziło. Chodziło, jak się później okazało, o pociski rakietowe V1 i V2. Wyrzadzały one bardzo duże straty, ale losów wojny nie mogły przechylić.

Z komentarzy radiowych wywnioskowaliśmy, że rozpoczął się cichy wyścig między wojskami radzieckimi i alianckimi, kto pierwszy dojdzie do Berlina. Nie wiedzieliśmy, że sprawa ta została uzgodniona między sprzymierzencami. Domysły nasze okazały się słuszne. Pod koniec czerwca ruszyła potężna ofensywa wojsk radzieckich na całym froncie. Niemcy cofali się, „strategicznie skracając linie frontu”, jak podawały komunikaty „das Oberkommando der Wehrmacht” (naczelne dowództwo armii). Wiedzieliśmy co to znaczy. Wyzwolenie zbliżało się w tempie wielu kilometrów dziennie.

Pewnego dnia na początku lipca nie usłyszeliśmy, jak zwykle o tej samej porze, przychodzących do pracy sprzątarek. Zrozumieliśmy, że coś się stało w koszarach, ponieważ były to Żydówki, przychodzące stamtąd. W kilka dni potem w biurze zapanowała zupełna cisza. Biuro przestało działać.

Od tej pory byliśmy zdani wyłącznie na komunikaty radiowe. Ale zgodnie z naszymi przewidywaniami, Niemcy wycofując się, wysadzili elektrownie. W kryjówce zapanowała „namacalna” ciemność. Na to byliśmy przygotowani. Ale zamknął nasz łącznik ze światem - radio. Utrata kontaktu z rozwojem wypadków mimo wszystko wywołała uczucie ulgi. Był to dowód na to, że zbliża się koniec.

Od wydarzeń lokanych, a w szczególności o losach Żydów w koszarach byliśmy również zupełnie odcięci. Jak dowiedzieliśmy się po wyzwoleniu, likwidacja koszar nie miała charakteru jednorazowego. W czasie nieustających apeli i selekcji pozwalano niektórym pozostać, natomiast większość wysłano do obozu w Plaszkach, a po zamknięciu tegoż do Oświęcimia. Garstkę uratowanych

pedzono, w miare cofania się, do innych obozów na terenie Austrii lub Niemiec, gdzie nieliczni doczekali się wyzwolenia przez armie sprzymierzonych.

Kolega, M. F., żyjący obecnie w Izraelu, opowiedział mi, że w czasie jednej z ostatnich selekcji on wraz z kilkoma innymi uratowali się, skacząc do dołu kloacznej latryny obozowej. Mimo niebezpieczeństwa jakie groziło w koszarach, niektórzy, głównie z kryjówek lesnych, zmuszeni brakiem żywności lub chorzy, przychodzili do koszar na kilka dni by uzupełnić zapasy żywności. Często padali właśnie tacy, ofiarami selekcji. W dniu 19 lipca, czyli na 18 dni przed wyzwoleniem, na zarządzonym apelu, na rozkaz oficera Gestapo Hildebranda, rozstrzelano na dziedzińcu koszar F. Hammermana z synem oraz M. Dörflera, który właśnie przyszedł z lasu po żywność. Miało to odstraszyć innych przed ukrywaniem się, jak oświadczył Hildebrand. Zdawał on sobie chyba sprawę ze zbliżającej się klęski, ale plan wyniszczenia Żydów realizował do końca. Sadzony na procesie w 1966 r. nie przypominał sobie tego, ani innych dokonanych zbrodni, mimo zeznań wielu naocznych świadków.

W przedśmiertnych konwulsjach "Tysiącletniej Hitlerowskiej Rzeszy" zagłada Żydów nie przestała być naczelnym zadaniem władz niemieckich.

Zamknieni w kryjówce uniknelismy tego rodzaju tragicznych wydarzeń w czasie ostatnich tygodni istnienia koszar. Ale my też przeżyliśmy kilka niepokojących chwil.

Pewnego dnia wydawało nam się, że ktoś otwiera klapy wlotu do dołu kloacznej. Natychmiast zgasilismy światło i zachowalismy absolutną ciszę. Ale nic się nie stało. Innym razem usłyszeliśmy powtarzające się, dość bliskie szczekanie psa, ale nie onas chodziło. Po pewnym czasie i to ustalo. A wech dobrego psa mógł być niebezpieczny.

Ostatnie tygodnie lipca były bardzo gorące. Mimo stosunkowo niezłego dopływu powietrza ciepło i duszność zaczęły nam bardzo dokuczać. Korzystając z tego, że budynek opustoszał po zlikwidowaniu biura, pozwalaliśmy sobie w godzinach nocnych na krótkotrwałe otwarcia wejścia do kryjówki, a czasem nawet dwóch, wychodziło na strych, zawsze w kombinacji, jeden Heilig i jeden Lieber. Zasady te stosowaliśmy od początku budowy kryjówki przy wszystkich przedsięwzięciach, wymagających podziału sił. Ale zawsze w takich sytuacjach jeden z nas czuwał przy otworze, tak aby w potrzebie mógł natychmiast zamknąć wejście od wewnątrz, niezależnie od tego czy ktoś pozostał na górze.

Pewnej nocy, będąc na strychu razem z Dolkim, usłyszeliśmy gwałtowne dobijanie się do drzwi wejściowych. Brat, usłyszawszy hałas, natychmiast zamknął wejście do kryjówki. Ukryłem się za stosem papierów. Byłem przekonany, że Dolek zrobił to samo. Okazało się, że cofający się żołnierze niemieccy, po wylamaniu drzwi, położyli się, gdzie kto mógł na podłodze i natychmiast usłyszałem chrapanie. Wcale nie szukali nikogo, tylko okazji do krótkotrwałego odpoczynku. Po kilku godzinach usłyszałem, że ktoś zaczął ich budzić i tak szybko jak się pojawili tak się wynieśli. Widac było im śpieszno.

Odczekałem chwile i zacząłem w umówiony sposób wołać Dolka, ale bez skutku. Zapukałem by mnie wpuszczono do kryjówki. Miałem nadzieję, że Dolek zdążył wskoczyć do wnętrza. Ale tam go nie było. Wyszliśmy jeszcze raz na strych na poszukiwanie, ale bez skutku. Zauważyłem, że blaszana pokrywa w dachu była odsunięta, co wskazywało, że Dolek wydostał się na dach. Nawoływaliśmy go wielokrotnie, sadząc, że ukrył się na dachu, ale i tam go nie było. Jedynym pocieszeniem było to, że nie słyszeliśmy strzałów. Rozważając różne możliwości, Józek przypuszczał, że Dolek po zeskoczeniu z dachu uciekł do Tabaczynskich, których córce dobrze znał. Postanowiliśmy, że Józek i ja pójdziemy go tam szukać. Odległość nie była zbyt duża, około dwóch km, ale wyprawa była bardzo niebezpieczna. Wyszliśmy w godzinach rannych, idąc na przelaj przez pola. Widzieliśmy sporo żołnierzy niemieckich, w grupach i pojedynczo, posuwających się od centrum miasta w kierunku na Mraznice, czyli na zachód. Cofali się. Nie zwracali na nas uwagi. Dotarliśmy szczęśliwie do domu Tabaczynskich i okazało się, że przewidywania Józka były słuszne. Z opowiadania Dolka dowiedzieliśmy się, że usłyszawszy dobijających się żołnierzy, wylazł na dach i w panice zeskoczył z wysokości pierwszego pietra na ziemię, tuż obok Niemców, którzy tak bardzo byli zajęci sobą, że go nie zauważyli. W panice, nie wiedząc co zrobić uciekł do Tabaczynskich. Nie wrócił już z nami do kryjówki. Został u Tabaczynskich, którzy nam powiedzieli, że Rosjanie są już w Tustanowicach (południowe przedmieście Borysławia). Uspokojeni wróciliśmy z dobrymi wiadomościami do kryjówki. Był 5 sierpień 1944.

W ostatnim tygodniu przed wyzwoleniem pozwoliliśmy sobie kilka razy wyleźć na dach przez wspomniany otwór i z radością przysłuchiwalismy się przelatującym z oddali pociskom. To Rosjanie strzelali w kierunku zachodnim, za cofającymi się Niemcami. Nie myśleliśmy o groźnym niebezpieczeństwie.

Kilka dni przed wyzwoleniem usłyszeliśmy powtarzające się szmery i przytłumione kroki w szatni, nad kryjówką. Zachowywaliśmy się bardzo ostrożnie, nasłuchując co się dzieje. Stwierdziliśmy z całą pewnością, że ktoś się znajduje w budynku. Aby uprzedzić ewentualne niebezpieczeństwo wykrycia kryjówki postanowiliśmy zbadać sprawę. Późno w nocy z bratem wyleźliśmy z kryjówki i zachowując dużą ostrożność otwieraliśmy kolono drzwi w szatni. W jednym z pomieszczeń wykryliśmy małżeństwo Bachmanów, którzy, przerażeni na nasz widok - trzymałem w ręku rewolwer - zaczęli w niezrozumiały dla nas sposób, tłumaczyć dlaczego się tu znaleźli. Prawdopodobnie musieli opuścić dotychczasowe miejsce, gdzie się ukrywali. Znalismy ich z okresu pracy w biurze. Nie wiedzieliśmy co z nimi zrobić. Pewne było, że nie możemy pozwolić na to by pozostali w budynku, ani też by wyszli. Przyłapani mogli nas wydać. Po krótkiej naradzie zabralismy ich do kryjówki. Jedzenia było trochę, gorzej z miejscem. Ale byliśmy pewni, że to już długo nie potrwa. Zresztą nie było innego wyjścia.

Wracając od Tabaczynskich widzieliśmy, że to koniec. Kwestia kilku dni. Pozwalaliśmy sobie na wielogodzinne otwieranie wylazu by zaczerpnąć świeżego powietrza. Dziewczeta i ojciec nie

opuszczali kryjówki, a my coraz więcej czasu spędzaliśmy na zewnątrz.

W dniu 7 sierpnia, w biały dzień, weszliśmy do frontowego budynku, którego okna wychodziły na główną ulicę. Pilnujący biur dozorca przeraził się na nasz widok, ale szybko daliśmy mu do zrozumienia, że siedział cicho. Wyglądając przez okna widzieliśmy dzielnych bohaterów armii niemieckiej, przemykających się wzdłuż chodników w kierunku zachodnim. Teraz niektórzy z nich stosowali "Laufschritt", do czego nas zmuszali na Janowskiej. Jaką satysfakcją dla mnie, który marzył, by przynajmniej o jeden dzień przeżyć i coś takiego zobaczyć. Po pewnym czasie ostatni żołnierz znikł i jedynie odgłosy strzałów można było usłyszeć.

Po około pół godziny od strony centrum miasta nadeszli 3 żołnierze rosyjscy. Gdy nas zobaczyli witających ich głosno, zapytali, czy widzieliśmy Niemców, wielu ich było i jak dawno się wycofali. Otrzymawszy odpowiedź, jeden z nich, widocznie dowódca, powiedział "dawaj rebiata zakurim" (no chłopcy zapalimy). Sam usiadł na skraju chodnika i zaczął krecić papierosa, jednemu kazał oddać kilka salw ze środka jezdni w kierunku uciekających Niemców, a drugiemu w kierunku pół, między domami. Po kilkunastu minutach nadeszło dwóch, ciągnąc ze sobą telefon polowy. Siedzieli jeszcze przez pewien czas, po czym poszli w tym samym kierunku co Niemcy. Szybko udaliśmy się do kryjówki i kazaliśmy wszystkim wyjść. Byliśmy uratowani 7 sierpnia 1944 roku, w godzinach przedpołudniowych.

Po trzech latach i 37-miu dniach staliśmy się znowu ludźmi.

Według oficjalnych danych znajdujących się w posiadaniu władz miejskich, z ponad 15000 Żydów boryslawskich, Niemcy, przy aktywnej pomocy lokanych wasali, głównie Ukraińców, wymordowali ponad 13000 osób.

Z pośród uratowanych znakomita większość stanowili ludzie, którzy w pierwszych dniach po wybuchu wojny wyjechali do Związku Radzieckiego.

EPILOG

DALSZE LOSY MIESZKANCÓW KRYJÓWKI

Po opuszczeniu kryjówki zamknaliśmy ją starannie. Nigdy nie wiadomo, powiedzieliśmy sobie. Front wielokrotnie się przemieszczał. Nie chcieliśmy też by ktoś się tam dostał.

Przeszliśmy przez cały dziedziniec biura, przecieliliśmy główną ulicę, mając zamiar jak najbardziej oddalić się na południowy wschód. Po przejściu kilkudziesięciu metrów zauwazyliśmy nagle odrywające się od ziemi kamyki i grudki ziemi, niektóre w najbliższej odległości. Jednocześnie słychać było intensywną strzelaninę. To cofające się wojsko niemieckie strzelało w kierunku miasta z pobliskich lasów. Padliśmy na ziemię razem z innymi znajdującymi się tam ludźmi, którzy nam powiedzieli, że strzelanina taka wokół miasta trwa już od poprzedniego dnia. Uratowaliśmy od zagłady mogliśmy pasc ofiarą przypadkowej kuli.

Gdy strzelanina ustała poszliśmy w kierunku centrum miasta, by się zorientować jakie mamy możliwości powrotu do normalnego życia. Nie mieliśmy nic, trzeba było zaczynać od zera. Z kryjówki nie zabraliśmy niczego. W mieście panował ogólny rozgardiasz. Nie było żadnej władzy. Niektórzy zaczęli rozbijać sklepy, wynosząc co się dało i ile mogli udzwignąć, głównie jednak żywność. Inni plundrowali opuszczone mieszkania. Byliśmy zupełnie zdezorientowani. Józek i Blanka udali się na spotkanie z Dolkiem. Ja z ojcem zatrzymaliśmy się tymczasowo u Schenklerowej z córką i synem, którzy byli moimi kolegami. Udało im się zająć obszerne mieszkanie w samym centrum. Brat z bratową zamieszkali w nowoczesnym mieszkaniu, w domu zbudowanym niedawno przed wojną. Zdobyliśmy nieco żywności i zaczęliśmy planować przyszłość. Sytuacja na froncie rozwijała się bardzo korzystnie i obawy przed możliwością powrotu Niemców przestały nas niepokoić.

Wiele czasu dziennie spędzaliśmy w mieście, głównie w centrum. Z lasów, z różnych schowków i ukryć napływali ludzie, którym udało się przetrwać. Niektórzy przeżyli w okropnych warunkach, często zmuszani do zmiany miejsca ukrycia. Ci z bunkrów leśnych bez przewy byli ściągani przez okolicznych Ukraińców, którzy polowali na nieszczęsne ofiary, zabierali im wszystko, mordowali względnie wydawali Niemcom. W konfrontacji z tym co opowiadano, zrozumieliśmy w jakim "komforcie" nam udało się przetrwać. Nie zazналиśmy nigdy głodu, mieliśmy wygodne miejsca do spania, wiedzieliśmy co się dzieje na świecie i na ogół czuliśmy się bezpieczni. Może nawet przecenialiśmy to ostatnie, ale to ułatwiała przetrwanie. Przecież przypadkowy remont, zmiana w instalacji elektrycznej, gazowej lub wodnej mogły naprowadzić na nasz ślad.

Po stosunkowo krótkim czasie, życie w mieście zaczęło wracać do normy. Nowe władze administracyjne, wśród których poznaliśmy niektórych z lat 1939/41, uruchomiły instytucje miejskie i

przemysł, który w zasadzie nie był zniszczony. Ojciec przeniósł się do naszego domu i wkrótce rozpoczął pracę w utworzonej spółdzielni obuwniczej. Ja nie starałem się o stałe mieszkanie w Boryslawiu, mając nadzieję, że wkrótce będę mógł wyjechać na studia. Tymczasem zatrzymałem się u brata.

Brat rozpoczął pracę jako nauczyciel. W latach 39–41 studiował w Instytucie Pedagogicznym w Drohobyczu, (mieszczącym się w gmachu mojego przedwojennego gimnazjum). Po stosunkowo krótkim czasie mógł kontynuować te studia, tym razem zaocznie, we Lwowie. Bratowa otrzymała pracę w handlu.

We Lwowie władze bardzo szybko uruchomiły Politechnikę i już pod koniec września mogłem kontynuować moje przerwane przez wojnę studia. Mimo toczącej się jeszcze wojny i powszechnego poboru do wojska studenci wyższych uczelni byli reklamowani. Potrzeba wykształconych kadr była paląca, a wojna i tak już była wygrana. Wielokrotnie wpadałem na kilka dni do Boryslawia, korzystając z wolnych dni na uczelni. Zatrzymywałem się wówczas u brata z bratową. Nie mogłem się zdobyć na to by wracać do naszego domu.

Rok akademicki 44/45 mijał szybko. Mimo trudności i braków związanych z toczącą się jeszcze wojną, byliśmy szczęśliwi. Wróciło kilku kolegów, którzy w 41 roku uciekli na wschód, m.in. moja obecna żona. Dzielił się opowiadaniem o przeżyciach i snulimy plany na przyszłość. Zarówno moja rodzina jak i Lieberowie trwalismy przy postanowieniu podjętym w kryjówce. Przy pierwszej okazji należy stąd wyjechać.

Chciałbym tu wspomnieć o pewnym wydarzeniu, które rzuca światło na różnice mentalności i charakterów ludzi różnych narodowości. Jako student specjalności samochodowej zostałem zatrudniony w wojskowych zakładach naprawy samochodów. Był duży brak specjalistów i władze chętnie korzystały z pomocy studentów wyższych lat. Do brygady, która kierowałem przydzielono 20 jeńców niemieckich, fachowców samochodowych. Moja radość nie miała granic. Marzenia z Janowskiej nie mogły się bardziej urzeczywistnić. Miałem okazję przynajmniej częściowo się odegrać. W pierwszym dniu gonilem ich do roboty. Krytykowałem wszystko co robili, wysmiewając ich niemiecką dokładność. Znosili wszystko bez słowa, nawet gdy nie miałem racji. Po dwóch lub trzech dniach przestałem do nich mówić, poza koniecznymi poleceniami. A po kilku dniach, widząc jak niektórzy głodnymi oczyma patrzą na mnie jedzącego śniadanie, oddałem im moją kanapkę.

Tak wyglądała zemsta Żyda, któremu Niemcy zamordowali matkę i bliską rodzinę i który przeszedł piekło Holocaustu.

Jesienią 1945 r. postanowienie opuszczenia tych stron przybrało realne szanse. Skorzystaliśmy z możliwości ewakuacji obywateli polskich i cała rodzina, do której dołączyła, uratowana we Lwowie kuzynka, wyjechała do Polski. Ojciec zatrzymał się w Gliwicach, brat z bratową po krótkiej

przerwie zamieszkali w Walbrzychu. Kuzynka mieszkała razem z nimi do czasu zamazpójścia za Leszka Szefera, (również on uratowany), z Borysławia. Ja z żoną wyjechalismy do Łodzi, gdzie już w listopadzie uzyskałem rejestrację na ostatni rok studiów. W lipcu 1946 roku otrzymałem dyplom inżyniera mechanika. Wobec braku architektury w Łodzi żona wyjechała do Wrocławia i po dwóch latach uzyskała dyplom.

W 1947 roku, po listopadowej uchwale ONZ o podziale Palestyny, zaczęła się na wprost legalna emigracja Żydów z Polski. Władze patrzyły przez palce jak Żydzi przez Czechosłowację i innymi drogami opuszczali kraj. Pod pretekstem legalnego wyjazdu na kontrakt do Norwegii, brat z bratową i ojciec po kilkатыgodniowym oczekiwaniu w Paryżu, wylądowali w 1948 roku w nowoutworzonym państwie Izrael. Mimo tych samych możliwości, ja z żoną pozostalismy w Polsce. Byłem jedynym z 7 „mieszkanców” kryjówki, który nie dotrzymał podjętego postanowienia o opuszczeniu tych stron. Lieberowie wyjechali jeszcze wcześniej, również do Izraela.

Po wieloletniej pracy w przemyśle motoryzacyjnym, na różnych stanowiskach, przenieśliśmy się w 1957 roku na Politechnikę, głównie ze względu na bardzo trudne, a nawet wręcz niebezpieczne, w panującej sytuacji politycznej, warunki. Po doktoracie i habilitacji otrzymałem nominację na docenta habilitowanego. Praca na uczelni, ogólna atmosfera i stosunki międzyludzkie, w odróżnieniu od przemysłu, były bardzo przyjemne i koleżeńskie. Byłem jedynym Żydem na wydziale mechanicznym i nigdy z tego tytułu nie miałem żadnych przykroczeń.

Żona pracowała w dużym biurze projektowym. Również i ona nie zaznała z racji pochodzenia żadnych nieprzyjemności. Mielismy dwoje dzieci i nie przypominam sobie by któreś skarżyło się na jakies kłopoty czy wyzyski.

Po wojnie szesciodniowej w 1967 roku sytuacja uległa radykalnej zmianie. Pod pozorem antysyjonizmu władze rozpoczęły nagonkę na Żydów, co padło na bardzo podatny klimat wśród większości społeczeństwa. Zaczęto rugować Żydów z wyższych stanowisk w aparacie państwowym, gospodarczym i politycznym. Żydzi mieli odgrywać, według stwierdzenia 1-szego sekretarza partii, Gomułki, rolę piątej kolumny. Prasa i radio przescigały się w publikowaniu najrozmaitszych oszczerstw antyżydowskich. W burzliwym rozwoju wypadków w Czechosłowacji Żydzi byli oskarżani o rolę prowodyrów. Zaczęła się masowa emigracja Żydów, którzy uważali się za Polaków i nie wyjeżdżali wcześniej.

Ja i tym razem nie skorzystałem z możliwości legalnego opuszczenia Polski. Stosunki w pracy nie uległy pogorszeniu. Podobnie wyglądała sytuacja w miejscu pracy żony. Ale ogólna atmosfera stała się nie do zniesienia. Prasa i radio pełne były oszczerstw na Izrael i lokalnych syjonistów - Żydów, których w sposób poniżający zmuszano do antyizraelskich oświadczeń.

W 1969 r. wyjechalismy z całą rodziną samochodem na urlop do Jugosławii, ale nie

mysleliśmy jeszcze o emigracji, mimo że prawie wszyscy znajomi wyjeżdżali. W tej niezwykle nieprzyjemnej atmosferze przeszedł jeszcze rok.

Przez wszystkie lata po wyjeździe brata utrzymywałem z nim stały kontakt listowny a także, telefoniczny. W 1956 r. odwiedziłem rodzinę w Izraelu. Nie odczuwałem z tego tytułu żadnych przykrości, ale na ogół ludzie unikali tego rodzaju kontaktów.

3. sierpnia 1970 r. wyjechałem samochodem z całą rodziną na urlop do Włoch. Mieszkała tam w tym czasie kuzynka żony, która rok wcześniej emigrowała z Polski. W kilka dni później przyleciał brat z Izraela. Sprawa powrotu do Polski stała się przedmiotem gorących dyskusji. Po kilku tygodniach podjęliśmy decyzję. Jeżeli uzyskamy wizę wjazdową do Szwecji to nie wracamy. W konsulacie szwedzkim załatwiono zgodę w ciągu trzech dni. Brat boleśnie zawiedziony, wyjechał wcześniej nie znając naszej decyzji. Sprawa emigracji do Izraela nie była aktualna.

28 września wylądowaliśmy w Malmö. Po trzymiesięcznym kursie języka szwedzkiego w ośrodku dla uchodźców w Alvesta skierowano nas do Lund gdzie oboje otrzymaliśmy pracę w tutejszej politechnice. Były to etaty specjalne, przewidziane głównie dla imigrantów. Dzieci rozpoczęły naukę w szkole i powoli zaczęliśmy budować przyszłość w nowym kraju. Mimo dużej pomocy ze strony władz oraz współpracowników początki były bardzo trudne. Nie mieliśmy niczego, wszystko zostawiliśmy w Polsce i trzeba było zaczynać od zera. Język szwedzki, niełatwy do opanowania, szczególnie w starszym wieku, sprawiał nam duże trudności. Były chwile kiedy wątpilem czy decyzja wyjazdu z Polski była słuszna. W odróżnieniu od większości emigrantów, których wyrzucono z pracy, my opuściliśmy pracę samowolnie.

Ale mieliśmy szczęście. 1 lipca 1972 zostałem powołany przez kierownictwo uczelni na stanowisko kierownika Instytutu Maszyn Przepływowych z obowiązkiem prowadzenia wykładów, a 28 grudnia tegoż roku otrzymałem dożywotnią nominację rządową na samodzielnego pracownika naukowego - Universitetslektor. Pozycja zawodowa, którą straciłem w Polsce została odbudowana w wyjątkowo krótkim czasie.

Zona również zdołała sobie wyrobić autorytet w pracy, mimo że charakter zajęć zasadniczo odbiegał od roboty w Polsce, gdzie samodzielnie zaprojektowała szereg budynków.

W 1973 r. przeprowadziliśmy się do własnego domu. Dzieci w przepisowym czasie ukończyły wyższe studia. Obecnie córka prowadzi własne biuro architektoniczne w Lund, a syn jest naczelnym lekarzem w Sztokholmie. Doczekaliśmy się dwoje wnuczek.

Cena jaką zapłaciliśmy w wyniku emigracji nie da się określić. Los emigranta, nawet jeżeli mu szczęście dopisze, nie jest do pozazdrosczenia, szczególnie w takim kraju jak Szwecja, gdzie imigracja do niedawna było pojęciem nieznanym.

Brat z bratową, po początkowych, bardzo trudnych latach w nowopowstałym państwie

Izrael, ciężka praca zdolali obie zbudować poważne pozycje zawodowe i społeczne. Brat ukończył wyższe studia, zajmował szereg kierowniczych stanowisk w instytucjach gospodarczych. Dwaj synowie ukończyli wyższe studia - lekarz i inżynier - założyli własne rodziny i dali rodzicom 6-ciu wspaniałych wnuków.

Bracia Lieberowie, po ukończeniu politechniki w Haifie, osiągnęli poważne stanowiska w gospodarce kraju. Józek należał do kierownictwa energetyki krajowej, a Dolek kierował pracami z ramienia przedsiębiorstw izraelskich zagranicą. Obaj jak też i siostra założyli rodziny.

Z siedmiu "mieszkanców" kryjówki pozostało pięciu. Ojciec po krótkotrwałym pobycie w Izraelu wrócił do Polski. Umarł w 1954 roku, po dłuższej chorobie, w wieku 66 lat. W kilka lat po moim wyjeździe z kraju, za namową brata, zwłoki zostały ekshumowane do Izraela.

Zmarła też, stunkowo młodo, Blanka Lieber.

Kuzynka z mężem i dziećmi wyemigrowali do Izraela w 1956 r. Również i oni po pokonaniu trudności pierwszych lat pobytu w budującym się kraju, stworzyli sobie i dzieciom ludzkie, a co najważniejsze bezdyskryminacyjne warunki życia. Córką i syn ukończyli wyższe studia. Rodzice doczekali się udanych, sprawiających im radość, wnuków.

Często odwiedzam rodzinę w Izraelu. Mimo skomplikowanej sytuacji geopolitycznej i ustawicznego niebezpieczeństwa na jakie są narażeni, szczególnie młodzi chłopcy-zołnierze, jak też niewinni, cywilni ludzie, odnoszę wrażenie, że żyją, okresliłbym to weselej, nie czują się emigrantami, są u siebie we własnym kraju.

Spotykam też kilku przyjaciół i kolegów z dawnych "boryslawskich" lat. Niestety nie wielu ich zostało.

Brat z bratową wprowadzili mnie do grona przyjaciół, z którymi utrzymują kontakty towarzyskie. Muszę przyznać, że nie czuję się w takich sytuacjach jako przyjezdny, chwilowy gość. Zawsze jest o czym porozmawiać, (większość mówi po polsku), powspominać dawne, młode lata a także tragedie lat wojennych, które przy każdym takim spotkaniu, zawsze w takiej czy innej formie, jak gdyby podświadomie, wylaniają się z naszej pamięci.

Każdy wyjazd z Izraela oznacza rozstanie się z bliskimi i przeżywamy to bardzo. Ale jak mówi mój brat; to znaczy, że wkrótce znowu się zobaczymy. Tak też dotąd było.

Ja wspomniałem wyżej po wyjściu z kryjówki zamknęliśmy ją starannie.

W 1991 r. przy okazji pobytu w Boryslawiu w poszukiwaniu grobu matki i wujka, udaliśmy się, brat z bratową i synem, oraz ja z córką na miejsce gdzie mieściła się kryjówka. Chcieliśmy pokazać

naszym dzieciom gdzieś się uratowali. Niestety nie udało nam się wejść do wnętrza budynku. Mieściła się tam fabryka obuwia i było chwilowo zamknięte. Obejrzelismy włączy do dolów kloacznych, zewnętrzne wejścia do kryjówki w czasie jej budowy. Miejsce było gęsto zarosnięte. Biegłyna wzdłuż ściany rura doprowadzająca gaz do kryjówki wskazywała na to, że nic się nie zmieniło. W dwa lata później, przy okazji odsłonięcia pomników na masowych grobach pomordowanych Żydów, brat uzyskał zgodę władz miejskich na wejście do wnętrza budynku. W obecności i ku zdziwieniu przedstawiciela zarządu miasta, odsunął ruchomy stopień schodów i otworzył klapy prowadzące do kryjówki. Zarówno wejście do jak i wnętrze kryjówki było nietknięte.

Przez prawie pół wieku ludzie pracowali w tym i w sąsiednich budynkach. Niejednokrotnie przeprowadzano bieżące remonty i nigdy nie wykryto, że w tym miejscu uratowało się siedmiu Żydów, skazanych przez Niemców na zagładę.

Dobra robota, przypadek, szczęście, a z pewnością wszystko razem.

Lund / Szwecja. Wrzesień, 1997.